

Jules Verne

Król Przestrzeni

Ostatnia powieść Juliusza Verne'a

ilustracje George Roux

Przekład M. P.

w tygodniku "Wieczory Rodzinne"

Warszawa 1905¹

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I.....	3
Tajemnicze zjawiska.....	3
ROZDZIAŁ II.....	6
W Morgantonie.....	6
ROZDZIAŁ III.....	9
Great-Eyry.....	9
ROZDZIAŁ IV.....	14
Konkurs klubu automobilistów.....	14
ROZDZIAŁ V.....	17
W zatoce Bostońskiej.....	17
ROZDZIAŁ VI.....	20
List pierwszy.....	20
ROZDZIAŁ VII.....	23
Na Kirdallu.....	23
ROZDZIAŁ VIII.....	26
Za jaką bądź cenę.....	26
ROZDZIAŁ IX.....	30
List drugi.....	30
ROZDZIAŁ X.....	31
Poza prawem.....	31
ROZDZIAŁ XI.....	34
Nowa wyprawa.....	34
ROZDZIAŁ XII.....	37
W zatoce Black-Rock.....	37
ROZDZIAŁ XIII.....	41
Na pokładzie „Grozy”.....	41
ROZDZIAŁ XIV.....	45
Niagara.....	45
ROZDZIAŁ XV.....	49

Gniazdo orle.	49
ROZDZIAŁ XVI.....	53
Robur zwycięzca.	53
ROZDZIAŁ XVII	59
W imię prawa!	59
ROZDZIAŁ XVIII	64
Ostatnia rozmowa z Grad.	64

ROZDZIAŁ I

Tajemnicze zjawiska

Łańcuch gór, ciągnący się równolegle do wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej i przerywający Stany: Karolinę Północną, Wirginię, Maryland, Pensylwanię, New-York, nosi nazwę Alleganów albo inaczej Apalaszów. Tworzą go dwa pasma oddzielne: góry Kumberlandzkie na zachodzie i Niebieskie na wschodzie.

Długość Alleganów wynosi około 900 mil czyli 1600 kilometrów, średnia wysokość zaledwie dosięga 1600 stóp. Najwyższym szczytem jest Waszyngton.

Góry te mało przedstawiają uroku dla alpinistów.

Na początku 20-go wieku zwrócił jednak na siebie uwagę szczyt Great-Eyry, uważany przez turystów za niedostępny.

Jako główny inspektor policji w Waszyngtonie, wziąłem czynny udział w niezwykłych wypadkach, których widownią była tak niedawno Ameryka Północna.

Great-Eyry znajduje się w górach Niebieskich, w Karolinie Północnej. U stóp jego leży wioska Pleasant-Garden, a nieco dalej miasteczko Morganton.

Skąd powstała nazwa Great-Eyry? Może orły, sępy i kondory krążą nad tym szczytem częściej, niż nad innymi wierzchołkami Alleganów? – Przeciwnie, w ostatnich czasach stada skrzydlatych drapieżców zdawały się nawet unikać tajemniczego wirchu, rozpraszając się w najrozmaitsze strony z oznakami niezwykłego przerażenia.

Jaką tajemnicę kryły te wysokie, strome urwiska? Może jezioro górskie, może lagunę, które tak często znajdujemy nie tylko w Alleganach, lecz i we wszystkich innych systemach orograficznych starego i nowego świata?

A może to krater uspiętego wulkanu, który wybuchnie lada chwila, zlewając na okolice kłęski podobne do tych, jakie sprowadzały wybuchy Krakatoa i Mont-Peleé. Może równinom Karoliny groził opłakany los Martyniki w 1902 roku.

To ostatnie przypuszczenie zdawało się mieć uzasadnione podstawy. Pewnego razu włościanie, pracujący na polach, usłyszeli jakiś łoskot, głuchy, straszliwy.

W nocy zauważono ponad górami jakby snopy bladawych płomieni, które odbijając się od chmur zawieszonych poniżej rzuciły na okolicę jakieś blaski posępne.

Z wnętrza Great-Eyry wydobywały się kłęby dymu i pary, zdradzając pracę sił wulkanicznych. Uniesione wiatrem ku wschodowi pozostawiały na ziemi ślady popiołu i sadzy.

Nic dziwnego zatem, że w obec zjawisk tak niezwykłych, w całej okolicy zapanował niepokój i żądza zbadania tajemniczego szczytu. Dzienniki stanu Karoliny nieustannie potraçały o tak zwaną „tajemnicę Great-Eyry”, roztrząsając pytanie czy pobyt w Morganton, Pleasant-Garden oraz sąsiednich wioskach i fermach nie przedstawia niebezpieczeństwa poważnego; artykuły tego rodzaju rozbudzały zajęcie niezwykle wśród szerszej publiczności, interesującej się zjawiskami przyrody w ogóle, oraz obawy ze strony tych wszystkich, którym katastrofa groziła bezpośrednio.

Żałowano powszechnie, że dotąd nikt z turystów nie wdarł się na ten wirch skalisty i niedostępny.

W promieniu wielu kilometrów nie było żadnego szczytu wyższego, skądby się można było przyjrzeć, chociażby przy pomocy lunety, tajemniczemu Great-Eyry.

A jednak zbadanie to zdawało się w chwili obecnej prawie koniecznością. Dla dobra całej okolicy należało się przekonać, czy istnieje tam krater i czy wybuch wulkanu nie zagraża stanowi Karoliny. W tym celu postanowiono urządzić wyprawę na Great-Eyry, nie zwracając uwagi na trudność zadania.

Przedtem jednak zaszła okoliczność, mogąca usunąć potrzebę tej wyprawy.

W pierwszych dniach września aeronauta Wilker, zapowiedział swój wzlot w Morgantonie, korzystając z wiatru wschodniego balon możnaby skierować ku Great-Eyry, a wzniosłszy się o kilkaset stóp ponad wierzchołek, Wilker, przy pomocy lunety, mógłby zbadać jego tajemnicę.

Wzlot został wykonany według programu. Wiatr był umiarkowany, niebo czyste i pogodne. Mgły poranne rozproszyły się pod wpływem promieni słonecznych. Wzrok sięgał daleko. W tych warunkach aeronauta z łatwością mógłby dostrzedz na Great-Eyry obecność dymu i pary, które oczywiście, stwierdzałyby hipotezę wulkanu – o co głównie chodziło. Balon wznosił się na wysokość 1500 stóp i zawisł w przestrzeni nieruchomo. Wiatru nie było najmniejszego. Lecz co za zawód! Po upływie kwadransa nowy prąd powietrza porwał balon i skierował go ku wschodowi, oddalając od pasma gór. Wkrótce potem dowiedziano się, że opadł na ziemię w pobliżu miasta Raleigh w Karolinie Północnej.

Wielkie nadzieje spełzły na niczem – postanowiono wprawdzie przedsięwziąć nową próbę lecz w warunkach pomyślniejszych.

Ponad Great-Eyry widywano wciąż dymy sadzowate, błyski migające, światełka niepewne.

W pierwszych dniach kwietnia r. b. obawy nieokreślone dotąd zaczęły graniczyć z przerażeniem. Dzienniki rozniosły szybko wieści zatrwajające.

W nocy z 4-go na 5-ty kwietnia straszne wstrząśnienie, któremu towarzyszył głuchy, podziemny łoskot, zbudziło ze snu mieszkańców Pleasant-Garden. Powstała panika powszechna, wywołana myślą, że część górskiego łańcucha zapadła się w ziemię. Wszyscy rzucili się ku drzwiom gotowi do ucieczki, przekonani, że za chwilę otworzy się przed nimi jakaś przepaść olbrzymia, która pochłonie ich, sąsiednie fermy i wioski.

Noc była bardzo ciemna. Gęste skłębione obłoki zwieszały się nad posępną równiną. Nie sposób było rozpoznać nic. Zewsząd rozlegały się krzyki przerażenia. Spłoszone gromadki mężczyzn, kobiet i dzieci, tłoczyły się po ścieżkach i drogach. Tu i ówdzie rozlegały się wołania:

- Co to takiego?
- To trzęsienie ziemi.
- To wybuch wulkanu...
- To Great-Eyry przynosi nam zniszczenie!

Okropna wieść, dobiegła aż do Morgantonu. Godzina upłynęła, a żaden z zatrwajających objawów się nie powtórzył. Powoli wszyscy ochłonęli z przestrochu i zaczęli powracać do swych domów. Nikt już nie wątpił, że to jakiś gład olbrzymi – oberwał się z wyżyn Great-Eyry, każdy pragnął, aby świt co prędzej rozjaśnił ciemności.

Nagle – około godziny trzeciej – nowy popłoch.

Z głębi skalistego zrębu wybuchły płomienie, rzucając potoki światła na znaczną przestrzeń nieba. Równocześnie usłyszano grom straszliwy i jakby trzask palących się drzew.

Co spowodowało ten pożar dziwny w miejscu tak niezwykłym? Z pewnością nie piorun, nikt bowiem nie słyszał jego uderzenia. Materiału dla ognia była moc, góry Niebieskie

bowiem i Kumberlandzkie pokryte są gęstym lasem. Cyprysy, latanje i inne drzewa o listowiu trwałym znajdują się tam w wielkiej obfitości.

– Wybuch!... wybuch!...

Zewsząd się rozlegały okrzyki przerażenia.

A zatem Great-Eyry ukrywał w swej głębi krater wulkanu! Wulkan ten, zagasły od tylu lat, a może nawet od tylu wieków, wybuchł znowu.

Wkrótce więc deszcz rozpalonych do czerwoności kamieni spadnie na dolinę; potoki lawy i ognia zaleją te niwy, lasy, wsi i miasteczka aż do Gleasant-Garden i Morganton.

Tym razem nic już paniki powstrzymać nie mogło. Kobiety, oszalałe prawie z przerażenia, ciągnąc za sobą dzieci, uciekały ku wschodowi chcąc się oddalić co prędzej od tych miejsc pełnych grozy. Mężczyźni zapakowywali pośpiesznie wszystkie kosztowności, wypuszczali na swobodę bydło domowe, konie, owce, które się rozbiegały we wszystkie strony.

To skupienie ludzi i zwierząt w noc ciemną, wśród lasów, wystawionych na działanie ognia wulkanicznych, nad brzegiem bagnisk, grożących wylewem, wytwarzało jakiś chaos dziwny. Może nawet ziemia rozstąpi się pod stopami uciekinierów? Może przypływ lawy, zagrozi im drogę, uniemożliwiając wszelki ratunek?... Rozsądniejsi wszelako nie łączyli się z tym tłumem rozsalałym, którego żadna siła powstrzymać nie mogła.

Istotnie, blask płomieni zmniejszał się widocznie, można więc było przypuszczać, że dziwny ten pożar zagaśnie wkrótce. Ani jeden kamień nie spadł na równinę, ani jeden potok lawy nie przedarł się przez gąszcz leśny; żaden łoskot podziemny nie wstrząsnął powierzchnią ziemi. Nad równiną zapanowała wkrótce ciemność i cisza.

Tłum uciekających zatrzymał się w pewnej odległości, gdzie już niebezpieczeństwo zdawało się nie grozić.

Odważniejsi wrócili nawet z pierwszym brzaskiem dnia do swych ferm i wiosek.

Około godziny czwartej zaledwie niewyraźny blask różowił jeszcze wierzchołek Great-Eyry. Oczywiście pożar się kończył i można było mieć nadzieję, że się więcej nie powtórzy.

Bądź co bądź nasuwało się przypuszczenie, że dziwne zjawiska, związane z Great-Eyry, nie były natury wulkanicznej. Mieszkańcom zatem nie groziła żadna katastrofa.

Nagle, około godziny piątej, ponad grzbietem gór tonących jeszcze w cieniach nocy, usłyszano jakiś szum niezwykły, jakiś hałas dziwny, jakby sapanie miarowe, któremu towarzyszył potężny ruch skrzydeł.

Gdyby nie mrok poranny, możeby mieszkańcy sąsiednich ferm i wiosek ujrzeli olbrzymiego ptaka, jakiegoś potwora napowietrznego, który, wzniósłszy się ponad Great-Eyry, ulatywał ku wschodowi.]

ROZDZIAŁ II

W Morgantonie.

Dwudziestego siódmego kwietnia stanąłem w Raleigh, głównym mieście Karoliny Północnej.

Dwa dni przedtem pan Ward, dyrektor policyi w Waszyngtonie, wezwał mnie do swego biura.

– Panie Strock – rzekł do mnie – zwracam się do pana, jako do agenta zdolnego, przenikliwego, pełnego zapału. Chcę panu polecić trudną misję.

Złożyłem ukłon głęboki.

– Jestem całkowicie na usługi pana. Co się zaś tyczy mego poświęcenia...

– Tego jestem pewny. Zaraz panu wyłuszcę, o co rzecz idzie.

Pan Ward powierzał mi już nieraz sprawy trudne, z których zawsze wywiązywałem się pomyślnie. Posiadałem więc całkowite uznanie dyrektora. Teraz od dłuższego już czasu nie zdarzył się żaden wypadek ciekawy. Bezczynność zaczynała mi ciężuć. Z niecierpliwością więc wyczekiwałem nowego zlecenia.

– Słyszałeś pan, zapewne, o niezwykłych zjawiskach w okolicach Morgantonu... Potrzeba zbadać na miejscu, czy zaszły tam nadzwyczajne wypadki nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla ludności okolicznej? Np., czy nie są one zapowiedzią wybuchów wulkanicznych, albo trzęsienia ziemi. Musimy się dowiedzieć koniecznie. Co się dzieje na tym szczycie tajemniczym. Utarło się mniemanie, że jest on niedostępny. Wątpię jednak o tem. Należałoby przedsięwziąć wyprawę doraźną, nie oglądając się na wydatki. Idzie tu przecież o uspokojenie mieszkańców i osłonięcie ich przed możliwym niebezpieczeństwem.... Zresztą może się na Great-Eyry ukrywa banda złoczyńców?...

– Czyżby pan przypuszczał?...

– Wszystko jest możliwe... Zresztą mogę się mylić... Zależy mi jednak, aby w czasie jak najkrótszym rozwikłać tę sprawę zagadkową. A może Karolinie Północnej grozi opłakany los Martyniki? Wprawdzie góry Allegańskie nie są natury wulkanicznej... W każdym razie jednak należy coprędzej zająć się urządzeniem wyprawy na Great-Eyry, a przedtem jeszcze rozpytać dokładnie mieszkańców. Nie taję, że zadanie to jest bardzo trudne i dlatego powierzamy je panu.

– Wdzięczny jestem niezmiernie i postaram się odpowiedzieć godnie położonemu we mnie zaufaniu.

– Jeszcze jedno panie Strock: zalecam panu jaknajwiększą ostrożność i dyskrecję, aby daremnie nie płoszyć mieszkańców.

– Rozumiem, panie Ward. Kiedy mam wyjechać?

– Jutro.

– Pojutrze zatem będę w Morgantonie.

– Nie zapomnij pan donosić mi codziennie o przebiegu sprawy.

– Będę przysyłał listy i telegramy. Żegnam pana i dziękuję najgoręcej za powierzenie mi tej misji.

Udałem się co prędzej do domu i zająłem się przygotowaniem do odjazdu.

Nazajutrz o świcie pociąg pośpieszny unosił mnie do Raleigh, stolicy Karoliny Północnej.

Przybyłem tam późnym wieczorem, przenocowałem, a nazajutrz rano wyruszyłem w dalszą drogę. Po południu stanąłem w Morgantonie. Miasteczko to zbudowane jest na gruncie wapiennym. W okolicy znajdują się bogate pokłady węgla kamiennego, które wywołały rozwój górnictwa. Obfite źródła mineralne ściągają podczas sezonu licznych gości. W sąsiednich wioskach rozwija się pomyślnie rolnictwo. Mieszkańcy uprawiają z powodzeniem rozmaite gatunki zbóż. Pola leżą przeważnie wśród błot, zarośniętych mchem i trzcina.

Lasów bardzo dużo. Większość drzew o listowiu trwałym. Brak tylko źródeł nafty, których obfitość cechuje równiny allegańskie.

Ustrój powierzchni i bogactwo pokładów spowodowały gęstość zaludnienia; liczne wioski i fermy urozmaicają jednostajność lasów i pól uprawnych.

Eljasz Smith, mer Morgantonu, wysoki, silnie zbudowany, a śmiały i energiczny, liczył już lat przeszło czterdzieści. Zahartowany na mróz i upały, które w Karolinie Północnej bywają niezwykle silne, namiętny myśliwy uganiał się nie tylko za dzikim ptactwem i zwierzyną, lecz nawet za niedźwiedziami i panterami, których bardzo wiele znajduje się w zaroślach cyprysowych i wąwozach allegańskich.

Eljasz Smith był właścicielem licznych ferm, które zarządzał osobiście. Tam też spędzał wszystkie chwile wolne od zajęć, oddając się łowiectwu.

Zaraz po przybyciu do Morgantonu udałem się do mieszkania p. Eljasza, który o moim przybyciu był już uprzedzony. Wręczyłem mu list polecający od p. Warda. Znajomość zawartą została szybko.

Zasiedliśmy do stolika i popijając brandy, oraz paląc fajki, zaczęliśmy rozmowę o wypadkach na Great-Eyry i o mojej misji. Pan Eljasz Smith słuchał mnie w milczeniu i bardzo uważnie. Od czasu do czasu napełniał szklanki. Po oczach błyszczących, z pod gęstych brwi i ożywionym wyrazie twarzy można było poznać, że sprawa zjawisk tajemniczych obchodzi go mocno. Nie dziwiłem się temu wcale: jako najwyższy urzędnik w Morgantonie i właściciel ziemski, zainteresowany był przecież w tem osobiście.

... Istnienia krateru nie przypuszczam, Allegany bowiem nie posiadają wulkanów. Dotąd nie znaleziono nigdzie popiołów, lawy ani innych śladów wybuchu.

– A jednak wstrząśnienia, które odczuwano w pobliżu Pleasant-Garden...

– Wstrząśnienia? – powtórzył p. Smith, poruszając głową z niedowierzaniem. Czy jednak nie były one złudzeniem, wywołanym paniką powszechną? Znajdowałem się wtedy w swej fermie Wildon, mniej więcej o milę od Great-Eyry i nie skonstatowałem żadnych wstrząśnień ani pod ziemią ani też na jej powierzchni.

– A płomienie, wybuchające z pomiędzy skał?

– O, płomienie, to rzecz inna!... Widziałem je na własne oczy. Łuna oświetlała niebo na znacznej przestrzeni... Słyszałem też dziwny ogłuszający huk, łoskot... jakby potężny syk kotła, z którego wypuszczają parę.

– Raporty, przysyłane do pana Warda wspominają jeszcze o dziwnym hałasie, który przypominał jakby uderzenie olbrzymich skrzydeł...

– Istotnie... Słyszałem coś podobnego... Uważałem to jednak za złudzenie wyobraźni. Nie chce mi się wierzyć, żeby Great-Eyry mógł być gniazdem potworów napowietrznych. Jakże olbrzymim musiałby być ten ptak, żebyśmy u stóp Great-Eyry słyszeć mogli ruch jego skrzydeł!... Tak, w tem wszystkim dziwna kryje się tajemnica!

– Wyjaśnimy ją wspólnymi siłami, panie Smith!

– Przynajmniej dołożymy wszelkich starań. Zaczynamy od jutra, nieprawdaż?

– Od jutra!

Udałem się do hotelu dla zarządzenia niezbędnych przygotowań i napisania listu do pana Warda.

Przed wieczorem zeszliśmy się raz jeszcze dla omowienia wszystkich szczegółów jutrzejszej wyprawy.

ROZDZIAŁ III

Great-Eyry.

Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy z Morgantonu, posuwając się lewym brzegiem Sarawby w kierunku Pleasant-Gardenu.

Obaj nasi przewodnicy – trzydziestoletni Harry Horn i dwudziestopięcioletni James Bruck – silni i nieustraszeni, znali wybornie góry Niebieskie i Cumberlandzkie, na Great-Eyry jednak dotąd wejść nie probowali.

Powozem zaprzężonym w parę bystrych koni, mieliśmy dojechać do zachodniej granicy Stanu. Zapasów żywności zabraliśmy niedużo, na dwa lub trzy dni zaledwie, nie przypuszczaliśmy bowiem, aby wycieczka nasza potrwać mogła dłużej. Mieliśmy z sobą wołowinę peklowaną, szynkę, pieczeń sarnią, kilka butelek whisky, baryłkę piwa i chleb. Wody dostarczyć nam miały potoki górskie, zasilane częstym o tej porze roku deszczem.

Mer Morgantonu, jako myśliwy zawołany zabrał z sobą fuzyę i psa, zwanego Nisko. Nisko biegł obok powozu, tropiąc po drodze zwierzynę i miał pozostać w fermie Wildon aż do chwili naszego powrotu z Great-Eyry.

Niebo było jasne, powietrze chłodne, koniec kwietnia bowiem bywa w klimacie amerykańskim dosyć ostry.

Wiatr zmienny, wiejący od Atlantyku, od czasu do czasu sprowadzał małe chmurki, które szybko posuwały się dalej ku zachodowi.

Pierwszego dnia podróży przybyliśmy do Pleasant-Gardenu i przenocowaliśmy u mera, który był osobistym przyjacielem pana Smitha.

Przyglądałem się z ciekawością okolicy; kręta drożyna prowadziła brzegiem pól uprawnych, bagien zielonych i lasów cyprysowych. Wspaniale wyglądały cyprysy proste i wysmukłe, jakby lekko nabrzmiałe u podstawy; w dolnej części pnie najeżone były małymi stożkami, z których mieszkańcy przyrządzają ule. Lekki powiew wiatru szumiał wśród blade-zielonych listków, kołysał długie, szare włókna, tak zwane „brody hiszpańskie”, które z dolnych gałęzi zwieszały się aż na ziemię.

Lasy te wrzały życiem. Z drogi umykały spłoszone myszy, chomiki, jaskrawo upierzone i ogłuszająco gadatliwe papugi, dydelfy, unoszące swe małe w workach podbrzusznym; niezliczone chmary ptaków fruwały wśród bananów, latanii i drzew pomarańczowych, których młode pędy przy pierwszym powiewie wiosny zaczynały już rozpękać; przechodzień z trudnością by się przedarł przez gęstwą rododendronów.

Wieczorem przybyliśmy do Pleasant-Garden, gdzie przyjął nas bardzo uprzejmie mer miasteczka, osobisty przyjaciel p. Smitha. Podczas kolacji panował nastrój bardzo wesoły; rozmowa obracała się przeważnie dokoła tajemniczych zjawisk ostatniej doby i usposobienia ludności.

– Czy w ostatnich czasach nie powtórzyły się żadne niepokojące odgłosy i światła? – zapytałem gospodarza domu.

– Nie zauważyliśmy nic podejrzanego – odparł. Jeżeli legion szatanów zabawiał się w tych skałach, to widocznie przeniósł się już gdzieindziej!

– Ba, lecz mam nadzieję, że te duchy piekieł pozostawiły po sobie jakieś ślady, które odnajdziemy niewątpliwie. Od tego tu jestem!

Nazajutrz, tj. 29-go raniutko wyruszyliśmy w dalszą drogę. Konie popędzane przez woźnicę, mknęły szybko. Otaczający krajobraz z małą odmianą przypominał widoki wczorajsze. Tylko bagna spotykały się coraz rzadziej, w miarę bowiem jak zbliżaliśmy się do gór, grunt się podnosił.

Gdzieniedzie, w cieniu olbrzymich buków, kryły się wioski i fermy. Ze skalistych ścian wąwozów i ze zboczów gór spływały liczne potoki, zasilające Sarawbę.

Flora i fauna była ta sama, co i wczoraj. Zwierzyny mnóstwo.

– Takąbym miał ochotę wziąć strzelbę i gwizdnąć na Niska – odezwał się pan Smith. Po raz pierwszy w życiu chyba bezkarnie przelatują dokoła mnie kuropatwy i snują się zające!... Lecz dzisiaj mamy co innego na głowie: polowanie na tajemnicę!

Jechaliśmy dalej nieskończenie długą równinę: tu i owdzie urozmaicały ją kępy latanii i cyprysów. Na skraju horyzontu dostrzegliśmy jakby małe lepianki, kapryśnie budowane i gęsto skupione, wśród nich mrowiły się całe tłumy gryzoniów. Były to wiewiórki z gatunku, zwanego w Ameryce „psami łąkowymi”. Z wyglądu nie były wprawdzie podobne do psów, lecz otrzymały tę nazwę z powodu dziwnie wrzaskliwego głosu, przypominającego szczekanie. Kłusem przejeżdżaliśmy mimo ich siedzib, a jednak trzeba było zatykać sobie uszy.

Podobne osady zwierzęce nie są w Stanach Zjednoczonych rzadkością. Między innymi przyrodnicy wymieniają Dog-Ville, które liczy przeszło milion takich mieszkańców.

Wiewiórki te są zupełnie nieszkodliwe, lecz wycie ich jest nieznośne, wprost ogłuszające. Żywią się przeważnie trawą i korzeniami. Najulubieńszy ich przysmak stanowi szarańcza.

Po południu łańcuch gór Niebieskich, oddalonych o sześć mil zaledwie, zarysował się wyraźnie na tle pogodnego nieba, po którym się przesunęły małe chmurki. Góry pokryte u podnóża gęstym iglastym lasem, najeżone ostre skalistymi wierzchołkami, miały wygląd dziwaczny. Górował nad nimi olbrzymi Black-Dowe, oświetlony promieniami wiosennego słońca.

– Czy byłeś pan na tym wspaniałym szczycie? zapytałem pana Smitha.

– Nie – odparł. Wejście jest podobno bardzo trudne, zresztą turyści zapewniają, że nawet z najwyższego punktu Black-Dowe’a nie widać wcale, co się dzieje na Great-Eyry.

– To prawda! wtrącił tu Harry Horn. Mogę to potwierdzić na podstawie własnego doświadczenia.

– Może mgły przeszkadzały – zauważyłem.

– Przeciwnie, pogoda była wspaniała, lecz skaliste krawędzie zasłaniały widok.

Dzisiaj ponad Great-Eyry nie dostrzegliśmy ani dymu, ani płomieni.

Nazajutrz wstaliśmy o świcie. Wysokość Great-Eyry dochodzi tysiąca ośmiuset stóp, równa się więc przeciętnej wysokości Alleganów. Przypuszczaliśmy zatem, że w kilka godzin osiągniemy szczytu, oczywiście, o ile nie natrafimy na trudności nieoczekiwane, przepaści nie do przebycia i przeszkody, zmuszające nas do zmiany kierunku drogi. Przewoźnicy nie mogli nam udzielić żadnych wskazówek. Najwięcej niepokoiło mnie utarte mniemanie o niedostępności Great-Eyry. Rachowaliśmy jednak, że olbrzymi głaz, który się oberwał podczas zjawisk tajemniczych, zrobił wyłom w zwartym pierścieniu skał i odsłonił wejście na wierzchołek.

– Czy starczy nam zapasów żywności? – zapytałem pana Smitha – wycieczka może się przedłużyć.

– O to niech pan będzie zupełnie spokojny, zabieram z sobą strzelbę, a w lasach tych zwierzyny nie brakuje. Mam też krzesiwo... rozpalemy więc ogień... oczywiście, o ile go nie znajdziemy na Great-Eyry.

– O ile go nie znajdziemy?

– Dlaczegożbyśmy go znaleźć nie mieli? któż zaręczy, że ognisko wspaniałych płomieni, które tak przerażały naszych pocziwych wieśniaków wygasło zupełnie. Może w tych popiołach tli się jeszcze jakaś iskierka?... A jeżeli tam istnieje krater?... Jakież to marny byłby wulkan, przy którymby się nie dało upiec jaj lub kartofli!... Wreszcie zobaczymy!...

Co do mnie nie miałem wyrobionego przekonania o tem, co znaleźć możemy na wierzchołku Great-Eyry. Spełniałem polecenie wyższej władzy. Ciekawość jednak nurtowała moją duszę. Pragnąłem gorąco, ażeby się okazało, iż Great-Eyry jest źródłem zjawisk niezwykłych, których tajemnicę mógłbym odsłonić, zdobywając przy tem słuszną sławę.

Przewodnicy poszli naprzód. Ja i pan Smith posuwaliśmy się za nimi wolno i ostrożnie.

Na los szczęścia Harry Horn skierował się do wąwozu. Kręta ścieżyna prowadziła z boczem stromych skał, gęsto zarośniętych iglastymi krzewami o listowiu czarniawym, szerokimi paprociami i dzikimi porzeczkami, przez które trudno się było przedzierać.

Całe chmary ptactwa zaludniały ten gąszcz leśny. Najhałaśliwiej krzyczały papugi, ostrym głosem rozdzierając powietrze. Zaledwie można było dosłyszeć skrzeczenie wiewiórek, chociaż setki ich przemykały się wśród krzewów. Środkiem wąwozu wił się fantastycznie potok, który wzbierał w porze deszczów i burz, tworząc liczne kaskady.

Po upływie pół godziny wąwóz stał się tak trudny do przebycia, że trzeba było nieustannie zbaczać ze ścieżki. Często noga nie znajdowała dostatecznego punktu oparcia. Musieliśmy się czepiać rękami traw i czołgać na kolanach.

– Do licha! – zawołał pan Smith, oddychając z trudem – nie dziwię się bynajmniej, że turyści omijają Great-Eyry.

– Mybyśmy też tam nie poszli, gdyby nie powody specjalne – zauważyłem.

– Byłem nieraz na Black-Dowe, – wtrącił Harry Horn, lecz nigdzie nie napotkałem takich trudności.

– Byleby się te trudności nie zamieniły na przeszkody, uniemożliwiające wyprawę! – zakończył rozmowę James Bruck.

Przedewszystkiem należało rozstrzygnąć kwestyę, czy mamy się zwrócić na lewo, czy też na prawo. I tu i tam wznosiły się gęste lasy i krzewy. Więc trzeba było iść na ślepo, mając jedną tylko wskazówkę a mianowicie, że w górach Niebieskich zbiega wschodnie są prawie niedostępne.

Postanowiliśmy zatem zdać się instynkt naszych przewodników, przedewszystkiem zaś Jamesa Brucka, który nie ustępował małpom co do zręczności, a kozicom co do zwinności i szybkości.

Spodziewałem się, że mu dorównam, od dzieciństwa bowiem byłem zaprawiony do ćwiczeń fizycznych i gimnastykowałem się stale.

Miałem jednak pewne wątpliwości co do pana Smitha. Mer Morgantonu, starszy ode mnie, wyższego wzrostu i większej tuszy był nierównie słabszy i krok miał mniej pewny. Sapał jak foka i widocznem było, że podąża za nami z największym wysiłkiem.

Prawie na początku drogi zrozumieliśmy, że wejście na Great-Eyry zabierze nam więcej czasu, niż przypuszczaliśmy wczoraj. Około godziny dziesiątej, po wielokrotnych próbach znalezienia ścieżki dostępnej, po licznych zbieżeniach i cofaniach się dotarliśmy wreszcie do skraju lasu.

Oczom naszym ukazały się pierwsze turnie Great-Eyry. Przewodnicy się zatrzymali.

– Nareszcie! – westchnął pan Smith, opierając się o pień latanii. – Należy nam się posiłek i trochę wypoczynku!

– Co najmniej godzinę! – zawołałem.

– Tak, tak... dotąd pracowały nasze płuca i nogi, teraz kolej na żołądek!

Nie było dwu zdań w tym względzie. Strudzone siły domagały się pokrzepienia. Obnażona stroma ściana Great-Eyry, na której nie widać było ani śladu ścieżki, obudzała w nas pewien niepokój. Harry Horn potrząsnął głową z powątpiewaniem:

– Może być całkiem niemożliwą – odparł James Bruck.

Uwaga jego rozniewała mnie mocno. Jakto? Więc moglibyśmy nie dotrzeć wcale do szczytu Great-Eyry? Byłoby to przecież najzupełniejsze niepowodzenie mej misji. Z jakąż miną stanąłbym wtedy przed panem Wardem, nie mówiąc już nic o ciekawości niezaspokojonej!

Otworzyliśmy torby podróżne, posililiśmy się zimnym mięsem i chlebem. Piliśmy bardzo umiarkowanie. Wypoczynek nasz trwał najwyżej pół godziny. Później pan Smith podniósł się pierwszy, nakłaniając nas do pośpiechu.

James Bruck poszedł naprzód, posuwaliśmy się za nim wolno i ostrożnie. Przewodnicy nie ukrywali bynajmniej swego zakłopotania. Harry Horn postanowił wyprzedzić nas i rozejrzeć się wśród miejscowości. Wrócił po upływie minut dwudziestu. Za jego radą obraliśmy kierunek północno-zachodni. Z tej to strony, w odległości trzech czy czterech mil, wznosił się dumnie Black-Dowe. Wiedzieliśmy jednak, że stamtąd nawet przy pomocy najsilniejszej lunety, nie zobaczymy, co się dzieje na Great-Eyry.

Wspinaliśmy się pod górę z wielkim trudem, wąską granią, na której tu i owdzie sterczały drobne krzaczki lub kępki traw. Uszliśmy najwyżej dwieście kroków, kiedy James Bruck zatrzymał się nagle, wskazując ze zdziwieniem na głęboką koleinę, przerzynającą grunt. Nieco dalej dostrzeżliśmy powyrywane korzenie, połamane gałęzie, na proch zmiażdżone skały. Rzekłbyś obsunęła się w tym miejscu jakaś olbrzymia lawina.

– Tędy, prawdopodobnie, staczał się głaz, który się oberwał z Great-Eyry – zauważył James Bruck.

– Nie ulega wątpliwości – odparł pan Smith. – Sądzę, że zrobimy najlepiej, posuwając się naprzód temi śladami.

Miał słuszną rację. Nogi nasze stąpały pewniej, zatrzymując się nieco na zagłębieniach powyszarpowanych przez obsuwającą się skałę. Poszliśmy teraz w kierunku prawie prostopadłym.

O pół do dwunastej dotarliśmy do skrajów stromej płaszczyzny. Droga urywała się nagle. Przed nami o sto kroków zaledwie, lecz o sto kroków w górę, sterczały skaliste ściany, zamykające tajemniczy wierzchołek. Przybierały one fantastyczne kształty igieł, słupów, maczug, potworów. Jedna ze skał przypominała sylwetkę orła z rozpostartymi skrzydłami. Stanowczo od wschodu wejście było niemożliwe.

– Odpocznijmy chwilę! – zaproponował pan Smith – a potem spróbujmy obejść szczyt dookoła.

– Głaz mógł się oberwać tylko z tej strony – zauważył Harry Horn. – Czemuż więc nie widzimy żadnego wyłomu w skałach otaczających wierzchołek?...

Po dziesięciu minutach wypoczynku postanowiliśmy iść dalej. Grunt był ślizgi. Posuwaliśmy się więc bardzo wolno u samej podstawy skał, wysokich na pięćdziesiąt stóp, rozszerzających się u góry i nieco wygiętych poniżej na podobieństwo koszyka. Gdybyśmy więc nawet mieli drabiny i klamry, wejście na szczyt byłoby niemożliwością absolutną. Great-Eyry nabierał w mych oczach zabarwienia czarodziejskiego. Nie zdziwiłbym się

bynajmniej, gdyby mi kto powiedział, że zamieszkują tu smoki, chimery i inne potwory mitologiczne.

Obchodziliśmy dokoła muru skalistego, który się zarysowywał tak prawidłowo, jak gdyby był dziełem ręki ludzkiej. Nigdzie żadnego wyłomu, żadnej szczeliny, przez którą by się można przesunąć lub zajrzeć do wewnątrz.

Po upływie półtorej godziny wróciliśmy do miejsca, skąd rozpoczęliśmy naszą wędrówkę obwodową.

Nie mogłem ukryć swego niezadowolenia. Pan Smith zirytowany był niemniej ode mnie.

– Do krośset dyabłów! – zawołał. – Więc nie dowiemy się nigdy, jaką tajemnicę kryje w swem łonie przeklęty Great-Eyry!

– Wulkan lub nie, mniejsza o to! – wtrąciłem, – dosyć, że w chwili obecnej nie daje powodu do żadnych obaw. Nie dostrzegliśmy nigdzie dymu ani płomieni, nie słyszeliśmy huku podziemnego, nie uczuwaliśmy żadnego wstrząśnienia.

Istotnie na Great-Eyry panowała zupełna cisza i pustka, jak zwykle na tak znacznej wysokości. Nie widzieliśmy żadnych śladów życia. Tylko kilka ptaków drapieżnych krążyło ponad szczytem.

Była już godzina trzecia, kiedy pan Smith odezwał się tonem zirytowanym.

– Nawet, gdybyśmy zostali tutaj do wieczora, nie dowiemy się niczego więcej. Wracajmy zatem, jeżeli chcemy w Pleasant-Garden stanąć przed nocą!

Milczałem, nie ruszając się z miejsca. W końcu jednak musiałem się zdobyć na rezygnację i pójść za towarzyszymi podróży. Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało!

Powrót był dużo łatwiejszy i mniej męczący. Przed piątą jeszcze przybyliśmy do fermy Wildon, gdzie czekano nas z obiadem.

O pół do dziesiątej zaś powóz nasz zatrzymał się przed domem mera w Pleasant-Garden, według programu mieliśmy tutaj przenocować. Długo nie mogłem zanać, rozmyślając nad tem; czy nie należałoby przedsięwziąć nazajutrz nowej wyprawy. Czyż jednak miałyby ona jakiegokolwiek widoki powodzenia?... Stanowczo rozsądniej było wrócić do Waszyngtonu i zapytać o decyzję pana Warda.

Nazajutrz wieczorem przybyliśmy do Morgantonu; opłaciłem przewodników, pożegnałem pana Smitha i pośpiesznym pociągiem udałem się do Raleigh.

ROZDZIAŁ IV

Konkurs klubu automobilistów.

Ze dwa tygodnie po moim powrocie do Waszyngtonu ciekawość ogółu obudził fakt inny, równie tajemniczy i niezwykły, jak zjawiska na Great-Eyry, fakt, który się powtórzył w kilku miejscowościach Pensylwanii. W połowie maja dzienniki rozpisowały się o nim szeroko.

Od niejakiego czasu w pobliżu Filadelfii, krążył dziwny wehikuł, który się tak szybko prznosił z miejsca na miejsce, że nikt nic pewnego powiedzieć nie mógł o jego rozmiarach, rodzaju i kształcie. Jedno nie ulegało wątpliwości, że był to samochód. Lecz jaki motor go poruszał?

W owej epoce najdoskonalsze automobile, niezależnie od tego, czy wprawiała je w ruch para wodna, nafta lub elektryczność, przebiegały sto trzydzieści kilometrów na godzinę, t. j. około półtorej mili na minutę, czyli mniej więcej tyle, ile pociągi pośpieszne na najlepiej urządzonych liniach kolejowych Europy i Ameryki.

Szybkość zaś tego nowego samochodu była stanowczo dwa razy większa.

Oczywiście, że stanowił niebezpieczeństwo poważne dla jezdnych i pieszych. Przyrząd tak niezwykły, poruszający się z bystrością niesłychaną, zjawiał się nagle niby piorun, poprzedzony hałasem straszliwym i kłębami kurzu; przerzynał powietrze z taką gwałtownością, że się łamały gałęzie drzew, przerażone trzody rozbiegały się z pastwisk, spłoszone ptactwo rozlatywało się na wszystkie strony, a nieszczęśliwi przejezdni znajdowali się w mgnieniu oka w przydrożnych rowach.

Dzienniki podnosiły jeszcze jeden szczegół zdumiewający: oto koła dziwnego przyrządu nie wrzynały się w szosę, nie tworzyły kolei, zaledwie pozostawiały jakiś ślad lekki, niewyraźny, niby muśnięcie.

– Widocznie szybkość tak nadzwyczajna znosi ciężar – pisał *New-York Herald*.

Z rozmaitych miejscowości Pensylwanii dochodziły protesty, głosy oburzenia. Czyż można pozwolić, aby po drogach Ameryki bezkarnie kursował wehikuł, który innym powozom oraz pieszym grozi zmiżdżeniem? W jaki sposób jednak zaradzić złemu? Nie wiadano do kogo tajemniczy samochód należy, ani dokąd dąży, ani skąd przybywa. Dostrzegano go przez jedną sekundę zaledwie, kiedy z szybkością zawrotną niby pocisk armatni przerzynał powietrze. O motorze, poruszającym ten dziwny przyrząd, również nie miano najlżejszego pojęcia, ponieważ jednak nie pozostawiał on żadnych śladów dymu, pary, nafty lub jakiegokolwiek oleju skalnego, wnioskowano iż porusza go siła elektryczności; przypuszczano nawet, że akumulatory nowego systemu gromadziły jakiś prąd niewyczerpany.

Podniecona wyobraźnia chwytiała się hipotez najnieprawdopodobniejszych, byle tylko znaleźć odpowiedź na niepokojące ogół pytanie: do kogo należy ten wóz tajemniczy?

Gubiono się w domysłach. Niektórzy przypuszczali, że kieruje nim jakaś siła tajemnicza, jakieś widmo z innego świata, palacz „z piekła rodem”, potwór mitologiczny, a nawet dyabeł we własnej osobie, Belzebub, Astaroth, hardo wyzywający ludzkość, zbrojny w nieograniczoną niewidzialną potęgę szatańską.

Lecz nawet sam szatan nie miał prawa rozbijać się z taką szybkością po drogach Stanów Zjednoczonych bez zezwolenia zwierzchności, bez numeru, wbrew obowiązującym

przepisom. Zresztą żaden zarząd miejski podobnego zezwolenia by nie udzielił. Należało zatem obmyślić środki celem powstrzymania zapału tajemniczego automobilisty.

Tymczasem rozniosła się wieść, że nietylko Pensylwania służy za welodrom dla tak niezwykłych popisów sportowych. Raporty policyjne donosiły, że tajemniczy wehikuł ukazał się w Kentucky, w Ohio, w Missooui, w Tennessee, nawet w Illinois i to w pobliżu Chicago!

Ostrzeżeń więc ze strony policji nie brakło. Władze miejskie zajęły się obmyśleniem środków zapobiegających niebezpieczeństwu. Powstrzymać samochód, pędzący z taką szybkością było niepodobieństwem. Należało więc chyba ustawić na drodze przeszkody, o które mógłby się rozbić.

– Czy nie zdoła jednak tych przeszkód usunąć? – odpowiadali więcej nieufni.

– Albo przez nie przeskoczyć! – dodawali inni.

– Jeżeli to dyabeł, ma przecież skrzydła i potrafi się unieść w powietrzu.

– Ba! gdyby miał skrzydła – mówili jeszcze inni – czyżby nie wolał szybować w przestworzach zamiast pędzić po ziemi?!

W końcu maja wszystkie wieści niepokojące ucichły. Tajemniczy samochód nie ukazywał się i przestano się nim zajmować.

W tym czasie klub automobilistów w Wiskonsynie postanowił urządzić wyścigi. Do tego celu nadawała się wyśmienicie długa a prosta jak wystrzelił, szosa wiodąca od Prairie-du-Chien, t. j. od zachodniej granicy Stanu aż do Milwaukee, portu nad Michiganem.

W konkursie miały wziąć udział wszystkie najwięcej znane firmy amerykańskie i europejskie. Najrozmaitsze systemy motorów miały prawo ubiegać się o nagrody, z których najmniejsza wynosiła 50000 dolarów. W Prairie-du-Chien stanęło więc czterdzieści najrozmaitszych samochodów, poruszanych za pomocą pary, nafty, alkoholu i elektryczności. Biorąc pod uwagę maximum szybkości, to znaczy od 130 – 140 kilometrów na godzinę, obliczono, że wyścig ten międzynarodowy trwać może najwyżej trzy godziny. Przestrzeń bowiem, którą należało przebyć, wynosiła dwieście mil. Dla uniknięcia możliwego niebezpieczeństwa władze Wiskonsynu wzbronily osobom prywatnym wszelkiego ruchu w dniu 3-go maja rano na drodze, wiodącej od Prairie-du-Chien do Milwaukee.

Tysiące ciekawych, nietylko z Wiskonsynu i ze Stanów sąsiednich, lecz nawet z dalszych krańców Ameryki, ba! nawet z Europy, zbiegło się na ten wyścig międzynarodowy.

Stosownie do zwyczaju, rozwielnionego w Stanach Zjednoczonych, stawiano liczne zakłady, kto zwycięży na konkursie. W tym celu potworzyły się nawet osobne agencje w rodzaju totalizatora.

O godzinie ósmej zrana dano hasło do odjazdu. Samochody, wybierane przez losowanie, miały wyruszać jeden po drugim z przerwą dwuminutową.

Po obu stronach drogi stali agenci policyjni, utrzymujący porządek i liczni widzowie. Najwięcej ciekawych zebrało się w Madisonie, stolicy Wiskonsynu i w Milwaukee.

Uplnęło półtorej godziny. W Prairie-du-Chien pozostał jeden tylko automobil. Dzięki telefonom, co pięć minut otrzymywano nowe wiadomości, w jakim porządku pędzą samochody. Naprzód wysunął się przyrząd firmy Renault Synów; tuż za nim pędził Harvard-Watson i Dion-Bouton. Zdarzyło się już kilka wypadków, motory źle funkcjonowały, niektóre samochody ustały w drodze, przypuszczano, że zaledwie dwanaście dojdzie do Milwaukee. Na szczęście ludzi ciężko rannych nie było. Zresztą w Ameryce nawet śmierć nie wywiera wielkiego wrażenia.

Łatwo zrozumieć, że ciekawość i roznamiętnienie tłumów wzrastało w miarę zbliżania się do Milwaukee.

Na zachodnim wybrzeżu Michiganu wznosił się wysoki słup, przystrojony we flagi międzynarodowe. Był to cel wyścigów.

Już po dziesiątej godzinie stało się widocznym, że o główną nagrodę – dwadzieścia tysięcy dolarów – ubiegać się może tylko pięć samochodów: dwa amerykańskie, dwa francuskie i jeden angielski. Łatwo można sobie wyobrazić, jak gorączkowo stawiano ostatnie zakłady. W grę wchodziła tu miłość własna narodowa. Stawki podwajano co chwilę. Zdawała się, że przeciwnicy gotowi są skoczyć sobie do oczu.

–Stawiam za Harvard-Watsonem!

– A ja za Dion-Bouton'em.

– A ja za Braćmi Renault.

O pół do dziesiątej, mniej więcej w odległości dwu mil od Pleasant-Garden, rozległ się straszliwy hałas, jak gdyby bieg kół powozu, pędzącego z szybkością nadzwyczajną: towarzyszył mu przeciągły gwizd maszyny.

Ciekawi zaledwie zdążyli usunąć się z drogi. Jakiś obłok przemknął szybko niby trąba powietrzna i zniknął, zostawiając po sobie długi tuman białego kurzu. Szybkość tego samochodu można było obliczać na 240 kilometrów na godzinę.

Widocznym było, że w przeciągu godziny wyprzedzi wszystkie pięć automobilów i pierwszy stanie u celu.

Ze wszystkich stron podniosły się głośne okrzyki.

– To chyba maszyna piekielna, o której przed kilku tygodniami wspominały dzienniki!

– Ta sama, która przebiegła Illinois, Ohio, Michigan i której policja nie zdołała zatrzymać!

– Sądziliśmy, że już znikła z widowni na zawsze!

– To chyba wóz dyabelski, ogrzewany ogniem piekielnym, prowadzony przez szatana.

Jakaż istota ludzka kierować mogła takim przyrządem niezwykłym z tak zadziwiającą szybkością?

Gdy pierwsze zdumienie minęło, przezorniejsi pośpieszyli zatelefonować do wszystkich stacyi, ostrzegając ścigające się samochody o zagrożeniu niebezpieczeństwem.

Oczywiście musiano zaprzestać walki o nagrodę, wyznaczoną przez klub. Zadziwiający wehikuł wyminął inne automobile z taką szybkością, że nikt się przypatrzeć nie mógł jego kształtowi, i rozmiarom; opowiadano tylko później, że przypominał nieco wrzeciono, długie na dziesięć metrów. Nie pozostawił za sobą ani śladu dymu, pary lub jakiegokolwiek woni.

Konduktora nie widziano wcale. Największe wzburzenie panowało w Milwaukee. Ktoś zaproponował ustawienie przeszkody, o którąby się ten przyrząd niezwykły rozbił na drobne cząsteczki. Czy starczy na to czasu. Tajemniczy wehikuł mógł się ukazać lada chwila. Zresztą i tak zmuszony będzie powstrzymać swój bieg szalony: droga przecież kończyła się nad brzegiem Michiganu.

Podobnie jak w Prairie-du-Chien, tworzono najdziwniejsze przypuszczenia co do istoty przyrządu i zagadkowego palacza, których oczekiwano z niecierpliwością gorączkową.

Trochę przed jedenastą usłyszano jakiś huk, jakby turkot odległy i ujrzano ślimakowate kłęby dymu. Ostry gwizd raz po raz przerzynał powietrze, nakazując usunięcie się z drogi przed nieznanym potworem, który biegu nie zwalniał. A jednak jezioro było już tylko o pół mili... Czyżby mechanik nie stał na wysokości swego zadania?...

Z szybkością błyskawicy wehikuł wpadł do Milwaukee, przebiegł miasto i znikł bez śladu... Czyżby go pochłonęły fale Michiganu?...

ROZDZIAŁ V

W zatoce Bostońskiej.

Kiedy po niefortunnej wyprawie na Great-Eyry wróciłem do Waszyngtonu, pana Warda nie było w mieście. Wyjechał na kilka tygodni z powodu interesów rodzinnych. Niewątpliwie jednak wiedział o mojem niepowodzeniu, dzienniki bowiem Karoliny Północnej natychmiast podały sprawozdanie szczegółowe z naszej wycieczki.

Znajdowałem się w stanie niezwykłego rozdrażnienia, do jakiego doprowadziła mnie upokorzona ambicja i niezaspokojona ciekawość.

Nie chciałem się wyrzec nadziei, że przyszłość przyniesie mi rozwiązanie tak niepokojącej zagadki. Muszę osiąść tajemnicę Great-Eyry, chociażbym dziesięć, dwadzieścia razy miał rozpocząć próby!...

Najrozmaitsze pomysły przychodziły mi do głowy. Wzniesienie rusztowania aż do wierzchołka skalistego zrębu... przebicie boków przez niedostępne głązy... wszystko to było rzeczą zupełnie możliwą... Nasi inżynierowie codziennie podejmują się zadań trudniejszych... Czyż jednak w tym wypadku opłaciłyby się wydatki, któreby mogły być obliczone na tysiące dolarów?... Za tę cenę można było uzyskać tylko zaspokojenie ciekawości publicznej... gdyby bowiem nawet okazało się, że Great-Eyry jest wulkanem, jakąż siłą powstrzymałaby jego wybuch i usunęła grożące niebezpieczeństwo.

Nie marzyłem nawet o przedsięwzięciu robót na rachunek osobisty... Na zbytek podobny mógłby sobie pozwolić chyba jakiś Astor, Vanderbilt lub Pierrepoint-Morgan! Lecz im to nie w głowie! Gdyby chodziło o miny złota daliby się może nakłonić, lecz teraz!...

15-go czerwca rano pan Ward wezwał mnie do siebie i przyjął bardzo łaskawie.

– Jak się pan miewa, biedny panie Strock? Cóż, nie udało się panu?

– Niestety, wyprawa moja była równie bezowocną, jak gdybym się był pokusił o zbadanie powierzchni księżyca. – Więc może te dziwne zjawiska, o których tyle mówiono i pisano, są tylko wytworem rozbującej wyobraźni Karolińczyków!

– Stanowczo nie! Mer Morgantonu i mer Pleasant-Gardenu potwierdzili wiarygodność tych zjawisk. Sądzę więc, że ponieważ przeszkody, które nas powstrzymały, były natury czysto materialnej, dałyby się usunąć przy pomocy pieniędzy...

– Zapewne. Lecz w obecnym czasie nic nas nie nagli. Na Great-Eyry panuje spokój zupełny. Czekajmy! może przyszłość odsłoni nam tę tajemnicę.

Rozmowa nasza skierowała się na temat ostatnich wypadków zaszłych w Wisconsinie. Byłem zdumiony, że władze miejskie dotąd nie zdołały zebrać żadnych bliższych szczegółów o tajemniczym wehikule, który od niejakiegoś czasu krążył po wszystkich większych drogach zagrażając bezpieczeństwu publicznemu, a podczas ostatnich wyścigów zdystansował wszystkie samochody. Ukazywał się i znikał z szybkością błyskawicy; daremnie śledzili go liczni agenci. W Milwaukee przepadł bez śladu i odtąd nic o nim nie słyszano. Obaj z panem Wardem uważaliśmy zdarzenie to za mocno i niezwykle sensacyjne.

– A teraz pokażę panu coś, co w równym stopniu zadziwi pana – odezwał się pan Ward.

Podał mi raport policji Bostońskiej i zasiadł do pisania jakiegoś listu.

Wziąłem raport skwapliwie i zacząłem przeglądać go z niezwykłym zajęciem.

Od kilku dni na przestrzeni morskiej między wybrzeżem Nowej Anglii z jednej, a wybrzeżami stanów Maine, Connecticut i Massachusetts z drugiej strony – ukazywało się zjawisko niesłychane. Jakaś masa niewyraźna, ruchoma, kształtu wrzeczona, barwy zielonkawej, ślizgała się lekko i zwinnie po powierzchni wody; znikła nagle w głębinach, a potem ukazywała się znowu. Z taką szybkością przenosiła się z miejsca na miejsce, że żadne lunety ruchów jej wyśledzić nie mogły.

Z Bostonu, Portsmouthu i Portlandu wysyłano kilkakrotnie łodzie i szalupy z poleceniem zbliżenia się i obserwowania tajemniczej bryły. Wszelkie ściganie okazywało się daremne, zjawisko bowiem znikало pod wodą.

Naturalnie na temat ten powstawało rozmaite domysły, jedne nedorzeczniejsze od drugich.

Marynarze i rybacy przypuszczali, że jest to jakieś zwierzę ssące z gatunku wielorybów. Wiadomo powszechnie, że zwierzęta te w pewnych regularnych odstępach czasu zanurzają się w wodę i potem wypływają znowu na powierzchnię, wyrzucając przez nozdrza jakby słupy wody pomieszaną z powietrzem. Nikt jednak nie spostrzegł ani razu, żeby ta istota nieznaną – jeżeli to była istota żywa – zachowywała się w podobny sposób, nikt też nigdy nie słyszał jej oddechu.

Może więc był to jakiś potwór morski, zamieszkujący głębie oceanu, w rodzaju tych, o których wspominają dawne legendy?... Coś w rodzaju lewiatana albo węża morskiego?...

W każdym razie od czasu pojawienia się tego niezwykłego zjawiska łódki rybackie i szalupy kierowane ostrożnością, nie wypływały na pełne morze; skoro tylko zauważyły „tajemnicze zwierzę” zawracały do portu.

Statki zaś żaglowe i parowce nie tylko nie unikały potworu, lecz nawet próbowały go ścigać; zawsze jednak znikał im z oczu.

Przerwałem czytanie, zwracając się do pana Warda:

– Nie rozumiem zaniepokojenia ludności: zwierzę to nie jest niebezpieczne... nie napada na małe statki... ucieka przed wielkimi... sądzę, że pierwaj czy później zobaczymy je w muzeum Waszyngtońskim...

– Tak... jeżeli mamy do czynienia z potworem morskim...

– Cóżby to mogło być innego?

– Czytaj pan dalej!... – przerwał pan Ward.

Z drugiej części raportu dowiedziałem się, że w zapatrywaniach na „sensacyjne zjawisko” zaszła zmiana stanowcza. Zaczęto przypuszczać, że nie jest to zwierzę nieznaną, lecz udoskonalony przyrząd do pływania. Może wynalazca przed sprzedaniem swego pomysłu chce zaciekawic publicznosc, a nawet obudzić przerażenie w ludności nadmorskiej. Udało mu się to w zupełności.

W ostatnich czasach dokonał się postęp olbrzymi w żegludze parowej. Przebywano Atlantyk w przeciągu dni pięciu. Marynarkę wojenną posunięto również do wielkiej doskonałości. Tym razem szło jednak o jakiś statek zupełnie nowego systemu, nie mający ani żagli, ani komina. Jakaż więc siła poruszała motor, który musiał być potężny?... O kształcie statku nikt nie miał pojęcia.

Zamyśliłem się głęboko.

– Cóż o tem sądzisz, panie Strock? – odezwał się szef.

– Zdaje mi się, że motor tego statku jest równie potężny i nieznaną, jak motor owego zagadkowego samochodu, który. tyle hałasu wywołał podczas konkursu klubu automobilistów...

Równocześnie przyszło mi na myśl, że za jaką bądź cenę należy zdobyć coprędzej tajemnicę nowego wynalazku. Ów żeglarz tajemniczy przypomniał mi zagadkowego palacza,

który prawdopodobnie wraz ze swym przyrządem niezwyklej utonął w Michiganie. Obaj jednakowo starannie zachowywali incognito. Pierwszy przepadł bez wieści. Niepokój mnie ogarnął o los drugiego: już od dwudziestu czterech godzin nie dawał znaku życia!

Wszystkie dzienniki odrzuciły pierwotne przypuszczenie o ukazaniu się nieznanego gatunku zoologicznego, twierdząc, że sensację powszechną wywołał nowy przyrząd do pływania, poruszany zapomocą motoru elektrycznego. Nikt tylko nie odgadywał, z jakiego źródła czerpał swą siłę dynamiczną.

Rozmowa nasza trwała dosyć długo. Wreszcie pan Ward zapytał:

– Czy nie zwróciłeś pan uwagi na dziwne podobieństwo, zachodzące między automobilem a statkiem.

– Niewątpliwie.

– Wobec tego zaś, że drugi pojawił się po zniknięciu pierwszego, czy nie przychodzi panu na myśl, że jest to jeden i ten sam przyrząd?...

ROZDZIAŁ VI

List pierwszy.

Pożegnałem pana Warda i wróciłem do swego mieszkania przy ulicy Long-Street. Nie miałem ani żony ani dzieci, nikt mi więc w rozmyślaniach nie przeszkadzał.

Dobro publiczne, bezpieczeństwo na lądzie i morzu wymagało przeprowadzenia ankiety w sprawie tajemniczego samochodu i zagadkowych zjawisk w zatoce Bostońskiej...

Przypuszczałem, że mnie właśnie powierzą to trudne zadanie... W jaki sposób trafić na ślad tajemniczego palacza, czy też palaczy?...

Po spożyciu śniadania zapaliłem fajkę i zacząłem przeglądać dzienniki... polityka zazwyczaj niewiele mnie obchodziła. Głównie pociągała mnie zawsze kronika wypadków.

W ostatnich czasach najskwapliwiej wyszukiwałem wiadomości z Karoliny Północnej, korespondencji z Morgantonu lub z Pleasant Garden. Pan Eliasz Smith obiecał mnie zawiadomić w razie ukazania się tajemniczych płomieni... Lecz dotąd mnie otrzymałem od niego ani listu ani depeszy... na Great-Eyry więc wszystko było spokojnie.

Z dzienników nie dowiedziałem się nic nowego. Znowu więc wróciłem do nurtujących mnie myśli.

...Czyżby samochód i statek były dziełem tego samego wynalazcy?... A może jeden i ten sam przyrząd daje się zastosować do wędrówki na lądzie i morzu... Jakiego rodzaju motor wytwarza szybkość tak niezwykłą, w dwójnasób przewyższającą szybkość największą, osiągniętą dotychczas?... Jaki związek istnieje między tajemnicą zatoki Bostońskiej?... Pierwsza zagrażała tylko mieszkańcom Karoliny Północnej. Druga przedstawiała niebezpieczeństwo poważne dla całych Stanów Zjednoczonych nawet dla całej Europy, a właściwie dla całego świata.

Nic dziwnego zatem, że ogół z gorączkową niecierpliwością oczekiwał wieści o tajemniczych wypadkach i rozchwytywał dzienniki.

Nawet stara Grad, dawna służąca mojej matki, która obecnie zajmowała się mojem gospodarstwem, była wielce zaniepokojoną.

I dzisiaj po obiedzie, sprzątając ze stołu, zwróciła się do mnie z zapytaniem:

– Cóż słyhać nowego?

– O czym? o samochodzie?

Skinęła głową w milczeniu.

– Nic!

– A o statku?

– Także nic.

– Mój Boże! po co też mamy policję.

– Nieraz stawiałem sobie podobne pytanie.

– A zatem pewnego pięknego poranku przeklęty palacz może się zjawić na ulicach Waszyngtonu i rozjeżdżać przechodniów!

– Tak źle nie będzie!

– Dlaczego?

- Zatrzymamy go.
- Ba, skoro to sam dyabeł, któż go zdoła pochwycić?!

Co za przepyszny wynalazek ten dyabeł! – pomyślałem – można mu przypisać wszystkie zjawiska, których wytłomaczyć nie umiemy! Dyabeł rozniecił pożar na wierzchołku Great-Eyry... dyabeł zdobył pierwszą nagrodę na wyścigach automobilistów ... Dyabeł przejeżdża się po morzu około wybrzeży Nowej Anglii!...

Myśli moje uparcie wracały do tego samego przedmiotu: kim był wynalazca tajemniczy, mający do swego rozporządzenia dwa przyrządy znakomite, które przewyższały wszystko, o czym dotąd ludzkość zamarzyć mogła?... Dlaczego się ukrywał tak starannie?... Cóżby to była za strata niepowetowana, gdyby się stał ofiarą jakiegoś wypadku i tajemnicę swą uniósł ze sobą do grobu!... Przygody jego zaliczonoby z czasem do legend...

Dzienniki amerykańskie i europejskie przez czas dłuższy sprawą tą zajmowały się gorliwie. Wypisywano rzeczy niestworzone. Artykuły następowały po artykułach. Publiczność czytała je chciwie. Kto wie nawet, czy Europa nie zazdrościła Ameryce genialnego mechanika, którego pomysł mógł zapewnić ojczyźnie zyski nieobliczone i przewagę olbrzymią?

Policja z wielką gorliwością poszukiwała śladów tajemniczego palacza. Z panem Ward prowadziłem na ten temat nieskończenie długie rozmowy...

15-go czerwca rano stara Grad podała mi list rekomendowany. Spojrzałem na adres, pismo było zupełnie nieznane, stempel pocztowy z Morgantonu...

Z Morgantonu?.. Nie wątpiłem ani na chwilę, że to list od pana Eliasza Smitha i powiedziałem o swem przypuszczeniu staruszce.

– Morganton? – powtórzyła z niepokojem to, – zdaje się gdzieś w pobliżu był ten pożar piekielny?...

– Tak, przypuszczam, że znowu zaszło tam coś niezwykłego, skoro pan Smith pisze do mnie.

– Lecz mam nadzieję, że pan już tam nie pojedzie!

– Dlaczegoż to?

– Bo zginąłby pan z pewnością na tym przeklętym Great-Eyry.

– Uspokój się. Najpierw dowiedzmy się, o co idzie.

Rozerwałem kopertę opatrzoną pieczęciami z laku czerwonego. Na pieczęcie odcisnięta była tarcza, a na niej trzy gwiazdy...

Wyjąłem list. Składał się z jednej tylko ćwiartki, złożonej we czworo.

Rzuciłem okiem na podpis.

Nie było go wcale. Tylko dwa inicjały: K. P.

– To nie jest list od mera z Morgantonu!

– Od kogóż zatem? – zapytała Grad.

– Nie mam najmniejszego pojęcia! W Morgantonie nie znam nikogo więcej!

Pismo było duże, litery wyraźne.

Oto kopia dosłowna listu, datowanego z Great-Eyry!

Great-Eyry. Góry Niebieskie. Karolina Północna.

13-go czerwca.

Do pana Strocka, głównego inspektora policyjnego w Waszyngtonie, przy Long-Street,
34.

Szanowny panie.

„Powierzono panu zbadanie Great-Eyry.

W tym celu 28-go kwietnia, w towarzystwie mera z Morgantonu i dwu przewodników urządziłeś pan wyprawę na szczyt.

Doszedłeś pan aż do zwartego pierścienia skał, które były tak wysokie, że nie mogłeś się na nie dostać.

Daremnie szukałeś pan wylomu albo szczeliny, kędybyś mógł pan zajrzeć do wnętrza.

Pamiętaj pan jedno: na Great-Eyry nie wejdzie nikt – a gdyby nawet wszedł, nie wróci stamtąd z pewnością!...

Zaniechaj więc pan dalszych prób, które się powiodą nie lepiej jak pierwsze, a mogą sprowadzić na pana skutki niebezpieczne.

Uśłuchaj pan mojej dobrej rady – w przeciwnym razie – biada Ci!”

K. P.

ROZDZIAŁ VII

Na Kirdallu.

Przyznaję, że list ten nappełnił mnie zdumieniem bezgranicznym. Pocziwa Grad, przed którą zazwyczaj nie miałem tajemnic, przyglądała mi się z niepokojem.

– Czy złe wiadomości? – zapytała wreszcie.

Za całą odpowiedź przeczytałem jej list zagadkowy.

– Jakaś mistyfikacja niewątpliwie, – dodałem w końcu.

– Albo sprawka dyabelska, list bowiem z tamtych okolic, – zaprzeczyła stara służąca.

List ten nie wychodził mi z głowy. W końcu doszedłem do przekonania, że to jakiś koncept niesmaczny. Przygoda moja była znaną powszechnie... Dzienniki rozpisywały się o niej szczegółowo. Niewątpliwie jakiś dowcipniś, których nie brak w Ameryce, chciał zażartować ze mnie i napisał ten list tajemniczy.

Gdyby nawet Great-Eyry było kryjówką złoczyńców, żaden z nich nie odważyłby się na napisanie czegoś podobnego, z obawy ściągnięcia na siebie uwagi policji i podniecenia ciekawości agentów. Wreszcie w jaki sposób złoczyńcy mogliby się tam dostać wobec tego, iż na własne oczy widziałem, że na szczyt dostępu niema?... Po namyśle postanowiłem panu Wardowi nic o liście nie wspominać. Włożyłem go jednak do biurka na wszelki wypadek. Gdyby nadeszły jeszcze inne listy, opatrzone, temi samymi inicjałami, rzecz sama nabrałaby wagi.

Upłynęło dni kilka, w ciągu których nie zaszło nic ważnego. Codziennie chodziłem do zarządu policji, oczekując jakiejś roboty – daremnie przewidywałem, że jedno jeszcze niepowodzenie w rodzaju wyprawy na Great-Eyry, a będę zmuszony prosić o dymisję.

Ani o tajemniczym samochodzie, ani o statku podwodnym nie było żadnych wieści. Rząd obsadził agentami wszystkie drogi, rzeki i jeziora. Czyż jednak tajemniczy statek nie mógł się ukryć w obszernym państwie rozciągającym się między 60°–125° długości a 30°–40° szerokości północnej?

Miał do swego rozporządzenia Atlantyk, Ocean Spokojny i zatokę Meksykańską. Zresztą dotychczas nie unikał wcale okolic uczęszczanych. Wziął udział w wyścigach w Wiskonsinie i dni kilka krążył po zatoce Bostońskiej.

Może więc zginął? – A może powędrował na stary kontynent?..

Od pana Smitha nie miałem żadnej wiadomości – zatem na Great-Eyry było spokojnie. 17-go czerwca wychodząc z domu zauważyłem dwu mężczyzn, którzy mi się przyglądali z pewną natarczywością. Nie przywiązywałem do tego zbyt wielkiej wagi, lecz gdy wróciłem do domu, stara Grad z miną tajemniczą zaczęła mi opowiadać, że od kilku dni ludzie ci szpiegują mnie widocznie; przechadzają się przed domem i idą za mną, gdy wychodzę do biura.

– Czy pewną jesteś tego, co mówisz?

– Najzupełniej

– Poznałabyś ich?

– Z łatwością.

– Masz zatem zdolności śledcze... Może chcesz się zapisać do straży policyjnej?

– Wolne żarty, panie. Lecz mam dobre oczy i wiem co mówię. Szpiegują pana z pewnością. Rozkaż pan agentom wysledzić tych ludzi.

– Dobrze, dobrze, moja kochana. Uczynię to z pewnością.

W gruncie rzeczy jednak nie traktowałem tej sprawy poważnie. Wiedziałem, że moja poczciwa służąca niepokoi się łatwo.

Przez dwa dni następne ani ja ani Grad nie zauważyliśmy przed domem żadnych osobistości podejrzanych. Stąd wnioskowałem, że staruszka omyliła się.

Rano, 19-go czerwca poczciwa kobiecina wpadła zadyszana do mego pokoju wołając:

– Panie, panie,... są!

– Kto taki?

– Szpiedzy... z tamtej strony ulicy, naprzeciwko okien... czekają pewnie, aż pan wyjdzie z mieszkania.

Zbliżyłem się do okna i podniosłem zlekka firankę, aby nie spłoszyć domniemyanych szpiegów.

Po chodniku istotnie przechadzało się tam i napowrót dwóch ludzi. Obaj byli średniego wzrostu, silnie zbudowani, w wieku od 35-40 lat. Ubranie ich zdradzało wieśniaków: wysokie buty, spodnie z grubej wełny, nasunięte na czoło filcowe kapelusze, w rękę laski.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że śledzą moje mieszkanie.

– Więc to są ci, sami, których zauważyłaś dawniej? – zapytałem.

– Napewno ci sami.

Postanowiłem wyjaśnić tę sprawę i dzisiaj jeszcze polecić jednemu z agentów wysledzenie podejrzanych osobistości. Ubrałem się pośpiesznie, zbiegłem prawie po schodach i wyszedłem na ulicę.

Przed domem nie było nikogo. Rozglądałem się bacznie dokoła. Szpiedzy zniknęli. W drodze do biura nie spotkałem ich również.

Odtąd ani ja ani stara Grad nie widzieliśmy ich więcej. Może już wiedzieli o mnie, co wiedzieć chcieli, zapamiętali moją powierzchowność, dość, że zaprzestali śledzenia. Przestałem myśleć o całej tej sprawie, podobnie jak i o liście z podpisem K. P.

O niezwykłym samochodzie i o zdumiewającym przyrządzie do pływania zapominano powoli, podobnie jak zapominano o tajemniczych zjawiskach na Great-Eyry.

Nagle ciekawość publiczności zwróconą została w innym kierunku.

Dnia 22-go czerwca *Evening Star* ogłosił artykuł następujący, przedrukowany nazajutrz przez wszystkie poczytniejsze dzienniki Stanów Zjednoczonych:

„Jezioro Kirdall, położone w Stanie Kansas, w okolicy górskiej, o osmdziesiąt mil od głównego miasta Topeka, stało się w ostatnich czasach widownią zjawisk szczególnych.

„Jezioro to zdaje się nie łączyć wcale z siecią hydrograficzną Stanów. Powierzchnia jego wynosi 75 mil kwadratowych. Głębokość u brzegów dochodzi do 50 stóp, a w pośrodku do 300-stu.

„Dostęp do jeziora jest bardzo utrudniony, wobec tego, że zamykają je skały ostre i wysokie. Droga prowadzi przez ciasne wąwozy. Po mimo to na wybrzeżu rozsiadły się liczne wioski, których mieszkańcy zajmują się rybołówstwem. Jezioro bowiem obfituje w szczupaki, pstrągi, okonie, węgorze, karpie i inne ryby wód słodkich. Wodę ma dziwnie przezroczystą.

„Po jeziorze krążą nieustannie barki rybackie, oraz małe statki żaglowe i szalupy, ułatwiające komunikację między osadami.

„Kolej żelazna, przeprowadzona prawie do skalistego obwodu jeziora, ułatwia handel rybami, które stanowią w Kansasie ważne źródło dochodu.

„Opis Kirdallu jest niezbędny dla zrozumienia faktów, przytoczonych poniżej”.

Dalej następuje sensacyjna część artykułu:

„Od niejakiegoś czasu rybacy zauważyli na powierzchni jeziora jakieś dziwne wzburzenie. Woda chwilami podnosi się w górę, jakgdyby wskutek odbicia fali głębinowej.

„Zjawisko podobne daje zauważyć się nawet podczas bardzo cichej pogody; kiedy najłżejszy wiaterek nie porusza przejrzystej toni, nagle powstają jakieś spienione wiry. Statki zaczynają kołysać się gwałtownie, przechylają się, zderzają ze sobą, a czasem nawet ponoszą silne uszkodzenia

„Nie ulega wątpliwości, że dziwne to zjawisko bierze początek w głębszych warstwach jeziora.

„Te zaburzenia tak niezwykle, przypisywano z początku działaniu sił podziemnych, pod wpływem których miało się zmieniać dno jeziora. Hypotezę tę jednak odrzucono, skoro się okazało, że dziwne zjawiska nie są bynajmniej umiejscowione, lecz zachodzą na całej powierzchni Kirdallu.

„Próbowano więc tłumaczyć innych. Przypuszczano obecność jakiegoś potwora morskiego, który burzył i mącił wodę z niezwykłą gwałtownością. Musiałby to jednak być jakaś okaz rozmiarów olbrzymich. Istota podobna w Kirdallu rozwinąć się nie mogła, ani też przypląć z zewnątrz, ponieważ jezioro było wewnętrzne, nie łączyło się ani z oceanem Spokojnym, ani z Atlantykiem, ani nawet z zatoką Meksykańską. Zagadka więc trudną była do rozstrzygnięcia.

„Po odrzuceniu dwu pierwszych hipotez, jako niemożliwych i nieprawdopodobnych, zaczęto przypuszczać, że w głębiach jeziora krąży jakiś statek podwodny. W ostatnich czasach przecież namnożyło się tyle przyrządów podobnego rodzaju! Przed kilku laty w Bridgeport (w stanie Connecticut) kursował „Protector”, zbudowany według systemu inżyniera Lake, opatrzony dwoma motorami, z których jeden był elektryczny o sile 75 koni, a drugi naftowy, o sile 250 koni. Przyrząd ten posiadał olbrzymie koła o średnicy metrowej i poruszał się z wielką szybkością na lądzie na morzu i pod wodą.

„Przypuszczając nawet, że na Kirdallu ukazał się jakiś nowy udoskonalony rodzaj statku podwodnego, zachodziło pytanie, jakim sposobem przyrząd ów mógł się dostać na jezioro zamknięte ze wszech stron wysokimi, niedostępnymi skałami?

„A przecież jedynie ta ostatnia hipoteza miała pozory prawdopodobieństwa!...

„W dniu 20-go czerwca ustały nawet wszelkie w tym względzie wątpliwości.

„Dwumasztowy statek *Markel*, płynąc z rozpiętymi żaglami ku północo-zachodowi, wpadł na jakieś ciało podwodne i poniósł znaczne uszkodzenia. Udało się wprawdzie zatkać otwór i statek dopłynął pomyślnie do portu sąsiedniego. Wypadek ten przeraził i zadziwił wszystkich. Wiadomo było, że w tym miejscu, gdzie nastąpił wypadek, nie było żadnej skały podwodnej a głębokość jeziora wynosiła od 80-90 stóp.

„Po wyciągnięciu statku na brzeg i dokładnym obejrzeniu okazało się, że pudło zostało przebite ostrogą jakiegoś okrętu.

„Odtąd obecność statku podwodnego, krążącego w głębiach Kirdallu z szybkością niesłychaną, stała się pewnikiem. Wobec tego nasuwał się cały szereg pytań:

„W jaki sposób statek ten dostał się na jezioro?... Dlaczego nie wypłynie nigdy na powierzchnię wody?... Dlaczego zachowuje incognito?...

Artykuł kończył się zestawieniem tajemniczego samochodu ze statkiem i z nowym przyrządem podwodnym.

Czyżby wszystkie były dziełem jednego i tego samego wynalazcy?...”

ROZDZIAŁ VIII

Za jaką bądź cenę.

Zakończenie artykułu było jakby objawieniem, przyjętem jednogłośnie i wywołało wrażenie olbrzymie. Umysł ludzki skłonny jest do wiary w rzeczy nadzwyczajne. Nikt już więc nie chciał wątpić, że wszystkie trzy niezwykle przyrządy są dziełem jednego wynalazcy.

Przypuszczano nawet, że jeden i ten sam przyrząd za pomocą zmian odpowiednich daje się przystosować do kursowania po lądzie, po morzu i nawet pod wodą... A zatem brakowałoby mu tylko możliwości bujania w powietrzu!... Publiczność, znudzona ostatnimi wypadkami, znalazła nową podniętę dla swej ciekawości i fantastycznych domysłów.

Wszyscy się zgadzali na jedno: za jakąbądź cenę należało osiąść tajemnicę cudownego wynalazku. Mógłby on przynieść korzyści nieobliczalne... Państwo, któreby miało do swego rozporządzenia motor tak potężny i poruszający jeden albo trzy tak niezwykle przyrządy z szybkością dochodzącą 2500 metrów na minutę, uzyskałoby olbrzymią przewagę nad innymi. Z pewnością żadne nie zaniedba starań, ażeby się porozumieć z wynalazcą. Lecz nabyć tajemnicę powinna stanowczo Ameryka. Milionów jej nie zabraknie!

Tak rozumowały nietylko sfery rządowe lecz i szersza publiczność... W jaki sposób jednak wziąć się do rzeczy?... Największą trudność przedstawiało odnalezienie genialnego wynalazcy. Daremnie przeszukiwano najstaranniej i sondowano jezioro Kirdalskie: nie znaleziono żadnego śladu łódki podwodnej. Zniknęła bez wieści, podobnie jak poprzednio samochód w Milwaukee i statek w zatoce Bostońskiej.

Nieraz mówiliśmy o tem wszystkim z p. Wardem, lecz nigdy nie umieliśmy, znaleźć odpowiedzi na niepokojące nas zagadki.

27-go czerwca raniutko wezwano mnie do zarządu. Stawiłem się niezwłocznie. Pan Ward odrazu przystąpił do rzeczy.

– Czy nie chciałbyś, panie Strock, naprawić wrażenia niefortunnej wyprawy na Great-Eyry?

– Nawet bardzo.

– Nadarza się wyborna sposobność...

– Jaka?

– Śledzenie tajemniczego wynalazcy... pragnąłbyś pan podjąć się tego zadania?...

– Z największą ochotą... pomimo trudności...

– Tak, byłoby to rzecz trudniejsza, niż zbadanie Great-Eyry.

Pan Ward przypominał mi często Great-Eyry. Nie miałem doń urazy, ponieważ czynił to bez złej intencji, jakby chcąc mi dodać bodźca na przyszłość.

– Odebrał pan jakie nowe wieści?

– Żadnych. Agenci śledzą daremnie jezioro i jego okolice. Gotów jestem przypuszczać, że mytyczny mechanik umie uczynić się niewidzialnym dla oka ludzkiego, jak nowy Proteusz!

– Cóż pan obmyślił?

– Mnie się zdaje, że pozostaje nam jeden tylko sposób, a mianowicie: za pośrednictwem prasy zaproponować mu sprzedaż wynalazku na takich warunkach, których by odrzucić nie

mógł. Przyrząd ten, nieocenionej wartości dla państwa, małe ma znaczenie dla jednostki pojedynczej. Trudno bowiem przypuszczać, że mamy do czynienia ze złoczyńcą, który ucieka od wymiaru sprawiedliwości.

Przyznałem panu Wardowi słusność zupełną. Droga przez niego wskazana była, mojem zdaniem, wspaniała. Cóż logiczniejszego nad wejście w układy z tajemniczym” bohaterem dnia”? Obsadzenie agentowi dróg, jezior i rzek, śledzenie Kirdallu i zatoki nie przyniosło żadnych rezultatów. Od czasu owej przygody z *Markelem* nie wykryto nic.

A może tajemniczy wynalazca wraz ze swym przyrządem padł ofiarą jakiegoś nieszczęśliwego wypadku?

Pan Ward nie umiał ukryć swego niezadowolenia, a nawet zawodu.

Ileż trudności przedstawia zapewnienie bezpieczeństwa publicznego, jeżeli złoczyńcy mogą się uczynić niepochwytymi na lądzie i morzu! W jaki sposób ich ścigać? Z chwilą, gdy ludzie wynajdą sposób kierowania balonami, znaczenie policji spadnie do zera, a ja i moi koledzy otrzymamy dymisyę. Nacóż się bowiem przyda uganie za zbrodniarzami w przestworzach powietrznych?...

Przypomniał mi się list tajemniczy i groźby, któremi chciano mnie zastraszyć. Z początku miałem zamiar powiedzieć o tem panu Wardowi, lecz się powstrzymałem. Szpiedzy nie pokazywali się więcej, tego byłem pewny, stara Grad bowiem miała się na baczności i byłaby ich dostrzegła niewątpliwie.

Sprawa Great-Eyry zbladła ogromnie wobec tej drugiej sprawy, która ją zasłoniła całkowicie. „Tajemniczy wynalazca” pochłaniał uwagę wszystkich.

– A zatem, kochany panie Strock, zaczął znowu pan Ward, bądź gotów do odjazdu na piewsze wezwanie. Lada chwila bowiem możemy usłyszeć, że gdzieś na terytorium amerykańskim pojawił się przyrząd tak niezmiernie intrygujący wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych.

– Zastosuję się do pańskiego rozkazu. Nie będę wychodził z domu wcale, chyba do zarządu... Czy mam wyruszyć z Waszyngtonu sam, czy też mogę wziąć kogoś do pomocy.

– Możesz pan wziąć dwu agentów, wybór pozostawiam panu.

– Dziękuję. Co mam uczynić, gdy natrafię na ślad owego Proteusza?

– Nie tracić go z oczu, w razie potrzeby nawet uwięzić i zawiadomić mnie depeszą!

– Dziękuję za powierzenie misji, która może mi przynieść sławę...

– I korzyść – zakończył pan Ward przyjaźnie.

Po powrocie do domu zająłem się przygotowaniem do odjazdu. Po namyśle wybor mój padł na dwu agentów, znanych ze sprytu, odwagi i siły. Jeden z nich, trzydziestoletni John Hart był rodem z Illinois, drugi, nieco starszy, Nab Walker, pochodził z Massachusetts.

Upłynęło dni kilka. Nie mieliśmy żadnych wiadomości ani o samochodzie ani o statkach. Dzienniki tylko podały parę wzmianek, uznanych za niewiarogodne, według jednej bowiem „bohater dnia” ukazał się 26-go czerwca po południu na drogach Arkanzasu, w pobliżu Little-Rock, według drugiej zaś, tego samego dnia wieczorem widziano tajemniczy przyrząd w południowej części jeziora Górnego.

Była to niemożliwość absolutna. Przestrzeń między temi punktami wynosi około 800 mil, pomimo zatem niezwyklej szybkości samochód nie mógł jej przebyć w tak krótkim przeciągu czasu. Zresztą, gdyby się nawet był o to pokusił, widzianoby go przecież gdzieś po drodze. W Arkanzasie, w Missouri, w Iowie lub w Wisconsinie.

Dlatego też do wzmianek powyższych nie przywiązywaliśmy wartości.

Trzeciego lipca wszystkie dzienniki Stanów Zjednoczonych ogłosiły odezwę następującą:

„W kwietniu, r. b. po drogach Pensylwacji, Kentucky, Ohio, Illinois, Tennessee, Missouri kursował jakiś samochód niezwykły. 27-go maja, po wyścigach w Wiskonsinie, gdzie ukazaniem się swym wywarł wrażenie piorunujące, znikł bez śladu.

„W pierwszej połowie czerwca, w zatoce Bostońskiej, naprzeciwko wybrzeży Nowej Anglii, ukazał się tajemniczy przyrząd do pływania i po kilku dniach również zginął bez wieści.

„W drugiej połowie czerwca na jeziorze Kirdallskiem znajdował się statek podwodny, krążył w głębinach, nie ukazał się ani razu na powierzchni i zniknął także w sposób tajemniczy.

Przypuszczając, że wynalazca tych trzech przyrządów – a może jednego przyrządu, dającego się przystosować do poruszania się na ziemi, w wodzie i pod wodą – jest jeden i ten sam człowiek, rząd amerykański zwraca się do niego z propozycją sprzedaży wyżej wspomnianego wynalazku.

„Warunki sprzedaży, oraz imię i nazwisko zechce tajemniczy właściciel przesłać do zarządu policji w Waszyngtonie, obwód Kolumbia, Stany Zjednoczone”.

Odezwa ta, wydrukowana dużymi literami, wpadnie niewątpliwie w oczy tego dziwnego człowieka. Odczyta ją i zmuszony będzie odpowiedzieć, przyjmując lub odrzucając ofertę.

Lecz pocóżby ją miał odrzucać.

Łatwo sobie wyobrazić, z jak gorączkową niecierpliwością publiczność wyczekiwała odpowiedzi. Tłumy ludzi, pchane ciekawością tłoczyły się przed zarządem policji.

Reporterzy nie odchodzili od drzwi.

Jakiż to zaszczyt, a zarazem jaki dochód dla dziennika, który pierwszy ogłosi upragnioną wiadomość!... Nareszcie imię, i nazwisko genialnego wynalazcy przestanie być tajemnicą!... Warunki może podać wysokie... Ameryka opłaci go hojnie, stać ją przecież na to!... Wreszcie, gdyby nawet rządowi zabrakło milionów, nie ulega wątpliwości, że wielcy miliarderzy otworzą swoje szkatuły!

Upłynął dzień. Dla wielu nerwowców i niecierpliwych miał on więcej niż dwadzieścia cztery godzin, a każda godzina więcej niż sześćdziesiąt minut.

Żadnego listu, żadnej depezy! Noc następna także nie przyniosła nic.

W ten sposób minęły jeszcze trzy dni.

Wówczas stało się to, co było do przewidzenia odrazu.

Kable zaniósł sensacyjną wieść do Europy. Wszystkie pierwszorzędne państwa Starego świata, jak Anglia, Francja, Niemcy, Rosja, Austria postanowiły walczyć z Ameryką o pierwszeństwo w nabyciu wynalazku, który mógł je wywyższyć ponad inne, zapewniając przewagę olbrzymią, szczególnie podczas wojny. Taki cel czyż nie wart milionów?... Prasa europejska zaczęła wydawać odezwy identyczne z odezwą rządu Stanów Zjednoczonych.

Lecz tajemniczy wynalazca nie dawał znaku życia. Mógł zostać miliarderem, rywalem Gouldów Vanderbildów, Morganów, lecz po nagrodę się nie zgłaszał. Świat cały przekształcił się na jakiś rynek, giełdę, gdzie prowadzono licytację niesłychaną.

Rano i wieczór gazety podawały cyfrę nagrody, podnosząc ją za każdym razem. Wreszcie dosięgła ona olbrzymiej sumy 20000000 dolarów, czyli 100000000 franków.

Na sumę powyższą zdecydowały się Stany Zjednoczone po długim posiedzeniu kongresu. Nikt jednak z Amerykanów nie uważał, że cyfra jest zbyt wysoką. Słyszano nawet zdanie, że wynalazek tak znakomity wart dużo więcej.

Państwa europejskie usunęły się od licytacji... Ograniczyły się tylko do uwag sceptycznych, jak np.... „tajemniczy wynalazca się nie pojawia... nic dziwnego, niema go wcale... nie egzystował nigdy... cała ta sprawa jest mistyfikacją na szeroką skalę... Wreszcie może i istniał naprawdę, lecz zleciał w przepaść lub utonął w głębinach morza...”

Czas upływał, na żadna odpowiedź nie nadchodziła... Tajemniczy przyrząd nie ukazywał się nigdzie.

Traciłem zupełnie nadzieję rozwiązania tej palącej zagadki.

Wreszcie 15-go lipca raniutko znaleziono w skrzynce przy zarządzie policyjnym list bez stempla pocztowego.

Władze zaraz po odczytaniu posłały list ten do redakcyi dzienników waszyngtońskich, które wydały go jako dodatek nadzwyczajny.

Oto jego treść:

ROZDZIAŁ IX

List drugi.

Na pokładzie „Grozy”.

15-go lipca.

Do mieszkańców Starego i Nowego świata!

Propozycje poczynione przez rozmaite państwa europejskie i Stany Zjednoczone Ameryki północnej zmuszają mnie do odpowiedzi.

Oznajmiam zatem, że odmawiam stanowczo przyjęcia nagrody za mój wynalazek.

Nie będzie on nigdy ani francuskim, ani niemieckim, ani angielskim, ani rosyjskim, ani amerykańskim, ani austriackim.

Pozostanie zawsze moją własnością prywatną i zrobię z nim, co mi się spodoba. Przy jego pomocy panować mogę nad całym światem. Nie oprze się mnie żadna potęga ludzka!

Niech nikt się nie łudzi, że zdoła mi wydrzeć mój pomysł. Za zło, które mi zechcą wyrządzić, potrafię się odemścić stokrotnie.

Milionami, które mi ofiarowują, gardzę. Nie potrzebuję ich wcale. Zresztą, gdybym ich kiedykolwiek zapragnął, wystarczy tylko abym wyciągnął po nie rękę, a zleją się na mnie obficie.

Niech wie świat Stary i Nowy, że są wobec mnie bezsilni – ja zaś jestem względem nich wszechpotężnym.

Tym razem podpisuję się otwarcie:

Król Przestrzeni.

ROZDZIAŁ X

Poza prawem.

Noc z 14-go na 15-ty lipca była ciemna, bezksiężycowa. Dużo ciekawych stało na ulicy od zachodu słońca aż do wschodu, nikt jednak nie widział, kto list powyższy wrzucił do skrzynki. Może nawet sam autor?

Dodatki nadzwyczajne podały również facsimile listu, który wywołał wrażenie olbrzymie. Jedni uważali go za żart, inni znowu traktowali tę sprawę poważnie

– Tu niema mowy o żadnej mistyfikacji – twierdzili. List ten pisał niewątpliwie twórca niepochwytnego przyrządu!...

Domysłem nie było końca.

Więc ten człowiek gienjalny, tak starannie, zachowujący incognito, nie zginął wcale!... Ukrył się tylko w takie miejsce, gdzie go ręka policji dosięgnąć nie może... W odpowiedzi na propozycje rządów napisał list... nie wysłał go pocztą, lecz przybył osobiście do stolicy Stanów i wrzucił własnoręcznie do skrzynki przy zarządzie policyjnym...

Może też wkrótce da nowy dowód swego istnienia?...

Jeżeli tajemniczy wynalazca pragnął rozgłosu, powinien był by zadowolonym, miliony czytelników, odczytując jego odpowiedź, „nie wierzyły swoim oczom”.

Od pierwszej chwili pismo wydało mi się znajome. Według grafologii zdradzało ono temperament gwałtowny, charakter samowolny.

Łamałem sobie głowę, gdzie już je widziałem. Nagle z piersi mej wyrwał się okrzyk... przypomniałem sobie list, otrzymany przed miesiącem z Morgantonu!...

Dziwnym, znaczącym może, zbiegiem okoliczności, inicjały, zastępujące podpis tamtego listu, mogły być początkowymi literami wyrazów: „*Król Przestrzeni!*...”

Zerwałem się z krzesła, podszedłem do biurka, wyjąłem z niego list, otrzymany w dniu 13-go czerwca i porównałem go z fac-simile. Nie było cienia wątpliwości. Pismo zupełnie jednakie.

Najrozmaitsze domysły kotłowały mi pod czaszką. Jaki mógł być związek między temi dwoma listami?... Czego dowodzi tożsamość pisma?... Czy może być wskazówką dla agentów i doprowadzić ich do pożądanego celu?...

Schowałem list do kieszeni i udałem się pośpiesznie do zarządu policji.

Pan Ward był w swoim gabinecie. Zapukałem gwałtowniej nieco, niż zwykle.

– Proszę.

Wszedłem. Pan Ward siedział przy biurku, mając przed sobą oryginał listu, którego facsimile³ podały dzienniki.

– Cóż nowego, panie Strock?

Podąłem mu list, opatrzone inicjałami. Pan Ward wziął go do ręki, przyjrzał się bacznie i zapytał:

– Skąd ten list?

– Z Morgantonu.

– Otrzymany kiedy?

- 13-go czerwca.
- Dlaczego przynosisz mi go pan tak późno?
- Dotąd sądziłem, że to jakiś żart... mistyfikacja... Dzisiaj zmieniłem zdanie...

Pan Ward zagłębił się w czytanie.

- Nie ulega wątpliwości, że oba listy pisała jedna i ta sama ręka.

– I ja tak sądzę

– Inicyały K. P. odpowiadają podpisowi: „*Król Przestrzeni*”.

– Tak. Lecz jaki związek zachodzić może między „*Grozą*”, a Great-Eyry?

– Nie wiem, i nawet nie mogę sobie wyobrazić... chyba...

– Co pan ma na myśli?

– ...Chyba, że wynalazca składa na Great-Eyry potrzebny mu materiał...

– To absolutnie niemożliwe! Jakim sposobem mógłby się tam dostać? Takie przypuszczenie nie wytrzymuje krytyki!

– A gdyby przypuścić, że „*Groza*” ma skrzydła, które pozwalają jej wzlatywać z orłami i sępami wydała mi się tak dziwaczną, że nie mogłem powstrzymać uśmiechu niedowierzania. Zresztą i pan Ward nie upierał się bynajmniej przy swoim przypuszczeniu. Wziął znowu oba listy i przyglądał się im bacznie przez lupę. Stanowczo pisane były tą samą ręką i nawet tym samym piórem.

– Zatrzymuję ten list – rzekł w końcu do mnie i powtarzam raz jeszcze: bądź każdej chwili gotów do odjazdu... Jestem przekonany, że odegra pan ważną rolę w tej dziwnej sprawie... a raczej w tych dwu sprawach... nie wątpię bowiem, że między nimi istnieje związek... chociaż pojąć nie mogę jaki...

Opuściłem zarząd policyjny pod tym wrażeniem, że lada moment otrzymam wezwanie do odjazdu. Lecz rozkaz nie nadchodził.

Harda i stanowcza odmowa, jaką rząd amerykański otrzymał od kapitana „*Grozy*”, spotęgowała zaniepokojenie publiczności.

I w ministerium i w Białym Domu⁴ panowało wzburzenie. Opinia publiczna domagała się zastosowania środków energicznych. Lecz w jaki sposób wziąć się do działania?... Gdzie znaleźć tego fantastycznego Króla Przestrzeni?... A gdyby się go nawet odszukało, czyż to możliwe zawładnąć jego osobą?... Posiada przecież na swe usługi maszynę cudowną?... Z chwilą, gdy tak dumnie odrzucił dolary, należało się uciec do siły... Odtąd więc uważany będzie jako złoczyńca, względem którego wszystkie środki uważane są za legalne. Bezpieczeństwo nie tylko Ameryki, lecz i całego świata wymaga, ażeby człowieka tego postawić w niemożności szkodenia innym.

„Wobec tego, że kapitan „*Grozy*” odmawia stanowczo wyjawienia swej tajemnicy, nawet za cenę ofiarowanych mu milionów, a wynalazek jego zagraża bezpieczeństwu publicznemu, człowiek ów zostaje wyjętym z pod opieki prawa. Wszelkie środki, mające na celu zniszczenie jego wynalazku i uwięzienie osoby rząd uznaje za legalne.”

Była to więc wojna otwarta i zacięta, wypowiedziana temu, *Królowi Przestrzeni*, który ośmielił się wyzwąć do walki cały naród, i to naród amerykański!

Wyznaczono znaczne nagrody za wykrycie kryjówki tajemniczego wynalazcy i za ujęcie jego osoby.

Zbliżał się koniec lipca. O „bohaterze dnia” żadnych wieści nie było. Dzienniki od czasu do czasu poruszały tę sprawę, lecz podawane wzmianki były bardzo lakoniczne i często zawierały sprzeczności.

Przynęta w formie wysokiej nagrody wprowadzała nieraz w błąd nawet ludzi wiarogodnych.

Pewnego razu ktoś widział samochód, pędzący jak trąba powietrzna... komuś innemu zdawało się, że na powierzchni jednego z jezior ukazał się dziwny przyrząd do pływania ... lecz wszystkie te zjawiska, oglądane przez pryzmat wysokiej nagrody nie miały podstaw rzeczywistych.

Wreszcie 29-go lipca otrzymałem rozkaz stawienia się do biura niezwłocznie.

We dwadzieścia minut później byłem już w gabinecie szefa.

– Za godzinę bądź pan gotów do odjazdu – rzekł do mnie pan Ward.

– Dokąd?

– Do Toledo... Tam pan otrzymasz wskazówki niezbędne.

– Za godzinę ja i moi agenci będziemy już w drodze.

– Dobrze... tym razem, mam nadzieję, że pan nie zawiedzie mego zaufania.

ROZDZIAŁ XI

Nowa wyprawa.

Tak więc mityczny kapitan ukazał się znowu i znowu na terytorium amerykańskim. Stąd należało wnioskować, że był Amerykaninem i że Amerykę tylko chciał uczynić widownią swych prób.

Z największą łatwością mógł się przecież dostać do Europy. Wobec niezwyklej szybkości przyrządu przebycie Atlantyku zajęłoby najwyżej trzy dni. Burze nie stanowiły dlań przeszkody. Gdy na powierzchni oceanu szalały fale, o dwadzieścia stóp poniżej poziomu mógł znaleźć zawsze spokój i ciszę.

Porozumienie między zarządem policyjnym w Waszyngtonie, a agentem w Toledo odbyło się w tajemnicy najgłębszej. Żaden dziennik nie otrzymał najlżejszej wzmianki o tem, że policja wpadła na trop tajemniczego kapitana; szło o to, by go nie spłoszyć przedwcześnie.

Przygotowania do odjazdu zrobione były oddawna. Zabraliśmy swe walizki i udaliśmy się na stację.

Toledo leży na północnej granicy stanu Ohio, nad brzegiem jeziora Erie. Pociąg pośpieszny w przeciągu nocy przewiózł nas przez Wirginię wschodnią i Ohio. O ósmej rano stanęliśmy w Toledo.

Na dworcu czekał nas agent policyjny, p. Artur Wells, który był uprzedzony o mojem przybyciu.

Przyglądał się bacznie wszystkim wysiadającym z wagonu.

Podszedłem ku niemu i przedstawiłem się.

– Jestem na usługi pana – rzekł.

– Czy mamy się zatrzymać w Toledo, czy też jedziemy wprost?

– Chcąc stanąć na miejscu przed wieczorem, musimy jechać natychmiast. Brek czeka nas na stacji.

Skinąłem na agentów.

– Dokąd jedziemy?

– Do Black-Rock.

– Daleko stąd?

– Mil ze dwadzieścia.

Po drodze wstąpiliśmy do White-Hotelu, gdzie zostawiliśmy swe walizki i zjedliśmy śniadanie.

O dziesiątej byliśmy już w drodze. Zatoka Black-Rock leżała w miejscowości pustej i bezludnej, zabraliśmy więc ze sobą zapasy żywności na dni kilka. Lato było gorące, perspektywa więc spędzenia kilka nocy pod gołym niebem nie przestraszała nas wcale.

Zresztą, los nasz rozstrzygnie się za kilka godzin... Albo uda się nam uwieźć kapitana „Grozy” na ładzie, kiedy się tego spodziewać nie będzie, albo też wymknie się z rąk naszych i wtedy go żadna siła nie pochwyty.

Artur Wells, jeden z najzdolniejszych agentów policji amerykańskiej, miał lat około czterdziestu. Silny, śmiały, przedsiębiorczy, obdarzony zimną krwią, odznaczył się już nieraz

i to z narażeniem życia. Posiadał nieograniczone zaufanie zwierzchności, która cenila go bardzo.

Przypadek tylko naprowadził go na ślad „Grozzy”.

Para rączych koników unosiła nas szybko brzegiem jeziora Erie ku południowo-zachodniej jego części. Jezioro Erie leży między Kanadą, stanami Ohio, Pensylwanią i New-Yorkiem, na wysokości 600 stóp ponad poziomem oceanu. Powierzchnia jeziora wynosi 80768 kilometrów kwadratowych. Na północno-zachodzie łączy się z jeziorem Huron i Saint-Clair, z południa wpadają doń rzeki Detroit, Rocky i Black. Wszystkie te wody zlewają się do jeziora Ontario, tworząc sławny wodospad Niagary.

Największa głębokość jeziora Erie dochodzi 135-ciu stóp. Aczkolwiek położone pod 40° szerokości północnej, od listopada do kwietnia zamraża: wiatry bowiem arktyczne, wiejące od oceanu Lodowatego nie napotykają na swej drodze żadnych przeszkód i ogromnie obniżają temperaturę.

Oprócz głównych miast, jak Buffalo, Toledo, Cleveland, na brzegach jeziora znajduje się jeszcze dużo pomniejszych miasteczek i wsi, Erie bowiem jest ważnym punktem handlowym, obrót roczny wynosi najmniej 200000 dolarów.

Zacząłem rozpytywać pana Wellsa, co go skłoniło do wysłania depeszy do zarządu policyjnego w Waszyngtonie. Oto czego się dowiedziałem:

27-go lipca po południu Wells wybrał się konno do miasteczka Hearly. Przejeżdżając przez mały laszek o pięć mil od celu podróży spostrzegł statek podwodny wypływający na powierzchni jeziora. Zeskoczył z konia, ukrył się w gęstwinie i widział najwyraźniej, jak statek zatrzymał się w zatoce Crique-Black, a dwaj ludzie wysiedli na brzeg. Jeden z nich był, prawdopodobnie; owym Królem Przestrzeni, a przyrząd jego rozgłosną „Grozq” .

– Niestety byłem sam tylko – ciągnął pan Wells. – Gdybym miał do pomocy pana i agentów, możeby nam się udało pochwycić tych ludzi...

– Niewątpliwie – odparłem. – Dowiedzielibyśmy się od nich wreszcie całej prawdy...

– A może jednym z nich był tajemniczy kapitan „Grozzy”?

– Obawiam się tylko, że statku możemy już w zatoce nie zastać.

– Przekonamy się o tem za kilka godzin.

– Czy przedwczoraj zostałeś pan w lasku do wieczora?

– Nie, około piątej odjechałem do Toledo i natychmiast wysłałem depeszę do Waszyngtonu.

– Wczoraj byłeś pan w zatoce Black-Rock?...

– Tak.

– Statek był tam jeszcze?

– Na tem samem miejscu.

– A ludzie?

– Ludzie byli także... O ile mi się zdaje, zajęci byli naprawianiem jakiegoś uszkodzenia... na brzegu, nagromadzony był nawet materyał...

– To bardzo możliwe, że uszkodzenia nie pozwoliły „Grozie” wrócić do zwykłej kryjówki... Czyżby jednak cała załoga tak skomplikowanego przyrządu, który się porusza z taką szybkością niesłychaną, składała się z dwu ludzi tylko?!...

– Nie sądzę, panie Strock... W każdym razie wczoraj i zawczoraj widziałem tylko dwu.

Kilkakrotnie wchodzili do lasku, gdzie byłem ukryty. Ścinali gałęzie, rozpalali ogień...

Zatoka jest tak dzika i pusta, że się nie spodziewali, by ich ktoś zobaczył.

– Przyjrzałeś się im pan dokładnie?

– Najzupełniej... jeden silnie zbudowany, średniego wzrostu, z brodą, rysy twarzy ma ostre... Drugi niższy, przysadzisty.

A zatem, od trzydziestu sześciu godzin tajemniczy statek znajdował się w zatoce Black-Rock, może więc zastaniemy go tam jeszcze i dzisiaj. Obecność „Grozy” na jeziorze Erie nie zdziwiła nas wcale, ostatnim razem widziano ją przecież na jeziorze Górnem, skąd bez trudności przybyć mogła do Erie albo rzeką Detroit, albo też łądem. Tylko w takim razie byłby ją przecież ktoś spostrzegł na drogach Michiganu, strzeżonych przez policję...

Jeżeli jednak „Groza” opuściła już zatokę, co pozostaje nam do zrobienia?...

Wiedziałem, że w porcie Buffalo znajdują się dwa parowce. Mogłem je wezwać depeszą i wysłać w pogoń za *Królem Przestrzeni*, lecz „Groza” miała większą szybkość i mogła się przytem ukrywać w głębinie!... Gdybyśmy więc nocy dzisiejszej nie znaleźli statku w zatoce, wyprawa nasza zrobiłaby fiasko. Wells zapewniał mnie, że zatoka jest pustą i bezludną. Nawet droga, prowadząca z Toledo do Hearly, przechodzi nieco dalej, o kilka mil od wybrzeża. Postanowiliśmy zatem zostawić brek w lasu, pod osłoną drzew, a gdy noc nadejdzie zbliżyć się do jeziora, ukryć wśród ostrych wysokich skał, i obserwować zatokę.

O siódmej zbliżyliśmy się do lasu. Było jeszcze prawie zupełnie jasno.

– Czy zatrzymamy się tutaj? – zapytałem pana Wellsa.

– Nie – odparł. – O kilkaset kroków dalej znajduje się ładna polanka, gdzie nas niczyje oko nie dostrzeże. Tam urządzimy popas, a skoro się ściemni, udamy się do zatoki.

Oczywiście zastosowałem się do rady pana Wellsa. Wysiedliśmy z breku i poszedliśmy pieszo. Las był tak gęsty, że ostatnie promienie zachodzącego słońca nie przedzierały się wcale po przez wysokie jodły, cyprysy i dęby. Ziemia, pokryta gęstym kobiercem traw, usiana była zeszlęmi liśćmi. Ani śladu jakichkolwiek dróg lub ścieżek. Po upływie dziesięciu minut znaleźliśmy się na polance. Do zachodu słońca mieliśmy jeszcze co najmniej godzinę czasu, mogliśmy więc odpocząć nieco po długiej i nużącej podróży. Woźnica wyprzągnął konie i puścił je na paszę, gdzie miały pozostać aż do naszego powrotu. Rozbiliśmy obóz u stóp wspaniałego cyprysu i zabraliśmy się do spożycia przywiezionych zapasów, głód bowiem zaczął nam dokuczać. Poczem zapaliliśmy fajki, oczekując upragnionej chwili zmroku. Niepokój pędził nas ku zatoce, lecz rozsądek nakazywał niecierpliwość. Dokoła panowała cisza zupełna. Nawet ptaki umilkły. Wieczór zapadał powoli. Świeży wietrzyk lekko poruszał liśćmi drzew. Wreszcie ściemniło się zupełnie.

Spojrzałem na zegarek. Było w pół do dziewiątej.

– Czas na nas, panie Wells.

– Idźmy zatem!

Wells poszedł naprzód. Ostrożnie posuwałem się za nim, a za mną John Hart i Nab Walker. Wśród mroków nocy mogliśmy z łatwością zgubić drogę, lecz szczęściem, Wells doskonałym był przewodnikiem. Wreszcie doszliśmy do skraju lasu. Przed nami rozciągało się piaszczyste wybrzeże, dochodzące do samej zatoki. Wszędzie pustka i cisza.

Na znak dany przez Wellsa zbliżamy się powoli... Piasek skrzypi pod naszymi stopami... Jeszcze kilkaset kroków i jesteśmy na samym brzegu Erie...

Nie widzimy nic... nic!... Miejsce, gdzie wczoraj jeszcze pan Wells widział „Grozę”, puste... A więc Król Przestrzeni opuścił już zatokę Black-Rock!...

ROZDZIAŁ XII

W zatoce Black-Rock.

Wiemy, jak chętnie natura ludzka podlega złudzeniom. Tak małe mieliśmy szanse znalezienia „Grozy” w zatoce Black-Rock, a jednak pod koniec dnia uwierzyliśmy najzupełniej w powodzenie.

To też łatwo sobie wyobrazić nasz zawód, nawet rozpacz! Cała wyprawa na nic!

„Groza”, prawdopodobnie, została już naprawiona i odpłynęła daleko. A jeżeli nawet znajduje się jeszcze na wodach Erie, odnaleźć ją i pochwycić... nie w naszej leży mocy. Wobec Króla Przestrzeni jesteśmy bezsilni i bezradni!...

Obaj z Wellsem staliśmy zgnębieni. John Hart i Nab Walker, niemniej rozczarowani, przechadzali się brzegiem zatoki, rozglądając się dokoła.

A jednak zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności. Obmyśliliśmy wszystko. Gdybyśmy ludzi widzianych przez pana Wellsa, zobaczyli na wybrzeżu, byłibyśmy wpadli na nich niespodziewanie i uwięzili... Gdyby zaś stali na pokładzie, czekalibyśmy aż wyjdą na brzeg i przecięlibyśmy im odwrót...

Tymczasem „Grozy” nie było już w zatoce! Milczeliśmy obaj i bez słów odczuwaliśmy wzajemnie swoją boleść... Powoli miejsce jej zajął gniew... Jakto, tyle trudów poszło na marne!... Niemoc nasza i bezradność doprowadzała nas do rozpacz.

Upłynęła godzina... Nie ruszaliśmy się z miejsca.

Wzrok nasz błąkał się dokoła, usiłując przeniknąć ciemności... Czasem na powierzchni wody zamigotały jakieś blaski i gasły szybko, a z nim resztki nadziei!... Czasem znowu zdawało się nam, że dostrzegamy jakby sylwetkę zbliżającego się statku... to znowu wiry jakieś podnosiły wodę i znowu tonęły w głębinie... Lecz i te słabe wskazówki znikwały po krótkiej chwili... była to więc chyba gra podnieconej wyobraźni... złudzenie zmysłów...

Agenci zbliżyli się ku nam.

– Co słyhać nowego? – zapytałem, – cień nadziei znowu się zbudził w mej duszy.

– Nic – odparł John Hart – obeszliliśmy zatokę dokoła, lecz nigdzie nie zauważyliśmy nawet śladu materyałów o których wspominał pan Wells.

– Czekajmy jeszcze – zawyrokowałem, nie mogąc się zdecydować na powrót do lasu.

Nagle uwagę naszą przykuło do siebie jakieś kołysanie się wody, rozchodzące się aż do podnóża skał.

– Co to jest? jakby plusk fali, – zauważył Wells.

– Istotnie – odpowiedziałem, – zniżając głos instynktowo. Co za przyczyna? Wiatr ustał zupełnie... Czy to wzburzenie wody tworzy się na jej powierzchni...

– ...Czy też w głębinie – dokończył Wells, pochylając się ku ziemi, by lepiej usłyszeć.

Można było myśleć, że to jakiś statek zbliża się do brzegu.

W milczeniu, bez ruchu staraliśmy się przeniknąć ciemności, podczas, gdy fale jeziora rozbijały się o urwiste brzegi.

Tymczasem John Hart i Nab Walker weszli na szczyt sąsiedniej skały. Ja zaś położyłem się prawie na ziemi, przyglądając się zjawisku, które nie zmniejszało się wcale... przeciwnie

stawało się coraz wyraźniejsze... dostrzegałem nawet miarowe kołysanie się fali, podobne do tego jakie wywołuje obrót śruby.

– Niema już wątpliwości – oświadczył Wells, pochylając się ku mnie, – statek się zbliża...

– Tak – przyświadczyłem, – o ile to nie jest jakieś zwierzę z gatunku wielorybów lub haja żarłoczna.

– Nie, to statek z pewnością.

– Czy w tym samym miejscu widziałeś go pan wczoraj?

– Tak. Oba razy stał tutaj. Teraz przybija tam...

Leżeliśmy prawie na brzegu, wpatrując się chciwie w poruszającą się niewyraźną masę. Posuwała się naprzód bardzo powoli i, prawdopodobnie, znajdowała się jeszcze dosyć daleko. Huk motoru zaledwie dawał się słyszeć.

A więc, podobnie jak wczoraj „*Groza*” spędzi noc w zatoce!... Dlaczego podniosła kotwicę, skoro wraca na to samo miejsce?... Czy jakieś nowe uszkodzenia nie pozwoliły jej popłynąć dalej?...

Te i tym podobne pytania opanowały mój umysł, lecz nie miałem czasu na ich rozstrzygnięcie.

Statek przybliżał się coraz więcej. Kapitan widocznie znał zatokę wybornie, nie zapalił bowiem żadnej latarni. Od czasu do czasu słychać było cichy stuk maszyny. Plusk stawał się coraz wyraźniejszy. Było jasnym, że statek za chwilę przybije do brzegu. Skały, wznoszące się nieco ponad powierzchnią jeziora tworzyły rodzaj naturalnego portu.

– Odejdźmy stąd – rzekł pan Wells, – biorąc mnie za ramię.

– Tak – odparłem – musimy się ukryć w zagłębieniach skał i czekać cierpliwie stosownej chwili... Tu mogliby nas dostrzedz.

– Idźmy więc.

Nie było czasu do stracenia. Niewyraźna masa zbliżała się coraz więcej. Na pokładzie, lekko wystającym ponad poziom wody ukazały się sylwetki dwu ludzi.

A więc naprawdę było ich tylko dwu?!...

Wells, ja, John Hart i Nab Walker wszyscy ukryliśmy się wśród skał, czołgając się jak najciszej. Jeżeli ludzie z „*Grozy*” wyjdą na brzeg, nie zobaczą nas z pewnością, my zaś będziemy ich widzieli dokładnie i postąpimy stosownie do okoliczności.

Sądząc z krótkich, urywanych słów, które zamieniali ze sobą, nie wąpiliśmy już, że mają wylądować za chwilę. Rzucili nawet linę na cypel przesmyku, który służył nam za punkt obserwacji. Jeden z marynarzy zeskoczył na ziemię i zapomocą tej liny ciągnął ku sobie statek. Wreszcie usłyszeliśmy skrzyp zarzucanej kotwicy. W kilka sekund później na piasku wybrzeża rozległy się kroki dwu ludzi, którzy kierowali się w stronę lasu, szukając drogi przy świetle okrętowej latarni.

Czyżby więc zatoka Black-Rock była miejscem wypoczynku dla „*Grozy*”?... Po co ci ludzie szli do lasu?... Czy mieli tam składy żywności i materiałów, skąd czerpali zapasy w razie potrzeby?... Widocznie tak byli przekonani o pustce tej okolicy, że nie zachowywali zwykłych ostrożności.

– Co robić? – zapytał Wells.

– Zaczekać ich powrotu, a wtedy...

Nie dokończyłem. Światło latarni padło na twarz jednego z ludzi... w którym poznałem tajemniczego szpiega z ulicy Long-Street!... Poznałem go najwyraźniej... On więc był tym królem przestrzeni, on pisał oba listy... przypomniały mi się groźby... lecz te się odnosiły do Great-Eyry!... Po raz nie wiem już który zadawałem sobie pytanie, nie umiając na nie znaleźć

odpowiedzi: jaki związek istnieje między Great-Eyry a „Grozq”? W kilku słowach odpowiedziałem Wellsowi o dręczącej mnie zagadce.

– Istotnie, to bardzo dziwne – odparł.

Tymczasem obaj marynarze znikli w lasku.

– Gdybyż tylko nie natrafili na nasz brek i konie! – szepnął Wells.

– Niema obawy... pocóż się mają zapuszczać tak daleko?...

– Gdyby jednak?

– W takim razie pośpieszą z powrotem, a my przetniemy im drogę do statku.

Na jeziorze panowała cisza głęboka. Wyszedłem z ukrycia i zbliżyłem się do miejsca, gdzie wbito kotwicę... Statek utrzymywany przez linę, kołysał się lekko. Na „Grozie” pusto było i ciemno. Żadnego światła, żadnej istoty ludzkiej! A gdyby też wskoczył na pokład i tam oczekiwać powrotu kapitana?...

– Panie Strock... panie Strock... – usłyszałem przytłumiony szept Wellsa.

Wróciłem pośpiesznie i przykucnąłem obok niego. A więc już zapóźno!... Sposobność opanowania statku minęła!... człowiek z latarką i towarzysz wracali już na brzeg. Oczywiście w lesie nie zauważyli nic podejrzanego. Każdy z nich niósł w ręku dużą pakę. Weszli na przesmyk i zatrzymali się na samym cyplu.

– Kapitanie! – rozległ się jakiś głos.

– Tutaj – brzmiała odpowiedź.

– A więc jest ich trzech – szepnął mi do ucha Wells.

– Kto wie, a może czterech, pięciu, lub sześciu – odpowiedziałem również cicho. Położenie stawało się trudniejszym. Z liczną załogą nie damy sobie rady!... Najmniejsza nieostrożność zgubić nas może... Co mają zamiar robić ci ludzie?... Czy zanosą paki na pokład i odpłyną zaraz, czy też czekać będą świtu?... Lecz z chwilą, gdy statek odpłynie, dla nas będzie stracony!... Gdzież go szukać będziemy? Czy druga sposobność nadarzy się jeszcze?...

– Jest nas czterech – zwróciłem się do Wellsa. Nie podejrzewając niczego... możemy wpaść na nich niespodziewanie i uwięzić

Chciałem już przywołać agentów, lecz Wells pochwycił mnie za ramię:

– Cicho! słuchaj pan! – szepnął.

Jeden z marynarzy zapomocą liny holował statek do brzegu.

– Czy wszystko w porządku? rozległ się głos z pokładu.

– Tak, kapitanie!...

– Zostały jeszcze dwie paki?

– Tak, kapitanie, dwie.

– A więc pójdziecie raz jeszcze i będziemy mieli wszystkie zapasy na „Grozie”

Nie myliliśmy się zatem! Mieliśmy do czynienia z Królem przestrzeni!

– Tak, kapitanie!

– Dobrze, odjedziemy jutro o wschodzie słońca!

Było zaledwie trzech ludzi.

Dwaj pójdą do lasu po paki... następnie zanosą je na pokład i położą się spać... Czyż nie będzie to wyborna chwila do napadu?... Zdecydowaliśmy się na ten plan, uspokojeni, że „Gроза” zostanie w zatoce do rana.

Było już w pół do jedenastej. Na piasku znowu rozległy się kroki ludzi, idących do lasu.

Skoro tylko znikli w cieniu drzew, Wells poszedł uprzedzić agentów, a ja prześliznąłem się na przesmyk

Stałem na samym cyplu. Przede mną lekko kołysała się „Groza”. Przypominała ona nieco statek, kursujący po zatoce Bostońskiej. Nie miała ani komina, ani masztu, ani lin, ani żagli.

Wróciliśmy na dawne miejsca i obejrzelśmy nasze rewolwery.

Upłynęło pięć minut. Lada chwila oczekiwaliśmy powrotu ludzi z pakami. W godzinę po ich wejściu na statek, kiedy prawdopodobnie wszyscy ułożą się do snu, wskoczmy na pokład i uwięzimy śpiących. Byleby tylko nie zdążyli podnieść kotwicy, albo zanurzyć się w głębiny, wtedy bowiem dostalibyśmy się w ich ręce.

Nigdy w życiu nie doznawałem tak silnego wzruszenia i niecierpliwości...

Zdawało mi się, że ludzie ci nie wyjdą z pomiędzy zarośli, że coś ich tam zatrzymało.

Nagle usłyszeliśmy jakiś hałas, jakby tentent koni – to nasze rumaki pędziły szybko brzegiem lasu...

Zaraz potem ukazali się ludzie z pakami... biegli co sił ku zatoce...

Niewątpliwie konie nasze obudziły ich czujność...

Domyślili się, że gdzieś w pobliżu ukrywają się agenci... że im grozi niebezpieczeństwo dostania się w ręce policyi...

Wpadną więc na przesmyk i podniosą kotwicę i wskoczą na pokład... „Groza” z szybkością błyskawicy zniknie nam z przed oczu, a partya nasza będzie przegrana!...

– Naprzód! – zakomenderowałem.

Zbiegliśmy na dół, chcąc zagrozić drogę marynarzom.

Skoro nas spostrzegli, rzucili paki i pochwycili rewolwery. Rozległy się strzały. Kula zraniła Johna Harta w nogę.

Wystrzeliliśmy również, lecz mniej szczęśliwie. Nie trafiliśmy w żadnego z przeciwników. Popędzili dalej, aż na sam cypel i nie podnosząc kotwicy wskoczyli na pokład.

Kapitan, stojący na pokładzie, dał ognia... kula drasnęła Wellsa.

Ja i Nab Walker pochwyciliśmy linę i ciągnęliśmy statek do brzegu.

Gdyby jednak tamci linę odcięli, mogliby odpłynąć spokojnie...

Wtem nagle wstrząśnienie... Nab Walker upada na ziemię... jedno z ramion wyrwanej z piasku kotwicy zaczepia się za mój pas i pociąga mnie ku statkowi...

Za chwilę „Groza” z całą szybkością na jaką ją stać, odpływa na pełne wody Erie...

ROZDZIAŁ XIII

Na pokładzie „Grozy”.

Gdy odzyskałem przytomność był już dzień. Leżałem na łóżku w ciasnej, skąpo oświetlonej kajucie, starannie okryty kołdrą. Ile godzin upłynęło od chwili mego porwania, nie miałem pojęcia. Sądząc jednak z ukośnie padających promieni, które się z trudem przedzierały przez małe okienka, było jeszcze bardzo rano.

W kącie suszyło się moje ubranie, a przedarty pas walał się na podłodze.

Nie poniosłem żadnej rany, uczuwałem tylko niesłychane znużenie. Sprawę z przebytego niebezpieczeństwa zdawałem sobie doskonale. Lina pociągnęła mnie do wody. Wpadłem głową na dół i byłbym się udusił niewątpliwie, gdyby mnie nie wciągnięto na pokład. Ostatnia scena głęboko utkwiała w mojej pamięci. Hart raniony w nogę leżał rozciągnięty na piasku, Wells celował w kapitana, Walker upadł na ziemię... Wszyscy oni sądzą zapewne, że zginąłem w falach Erie...

Jaką drogę obrała „Groza”?...

Jedno było pewnem, że obecnie znajdowaliśmy się na powierzchni wody. Nie przypominam sobie żadnych wstrząśnień, prawdopodobnie więc kapitan nie przekształcał statku na samochód i nie jechaliśmy wcale lądem, tylko cały czas płynęliśmy po Erie. Gdzie byliśmy obecnie? Czy na rzece Detroit, czy może na jeziorze Huron, albo Górnem? Trudno o tem było sądzić! Przypuszczałem jednak, że na Erie.

Postanowiłem wyjrzeć na świat i zorientować się w miejscowości. Ubierałem się z pewnym niepokojem. A może zamknięto mnie na klucz?... Sprobowałem podnieść klapę w suficie kajuty. Udało mi się na szczęście i po chwili wysunąłem się do połowy na pokład.

Rozejrzałem się wokoło. Wszędzie niezmierna wodna płaszczyna! Płynęliśmy z ogromną szybkością a fale rozbijając się o przód okrętu rozpryskiwały się w drobniuchne bryzgi, które uderzały mnie po twarzy. Uczułem smak wody słodkiej.

Słońce było jeszcze dosyć daleko od zenitu, najwyżej więc godzin ośm upłynęło od chwili odjazdu z zatoki Black-Rock. Wobec tego, że długość Erie wynosi 225 mil, a szerokość 50 mil, nie dziwiłem się wcale, nie widząc nigdzie brzegów

Na pokładzie znajdowało się dwu ludzi. Jeden stał na przodzie, wpatrzony w rozciągającą się przed nim bezkresną przestrzeń, drugi u steru, kierując ku półno-wschodowi. Pierwszym był jeden ze szpiegów, czatujących na mnie przy ulicy Long-Street, drugim ten, co niósł latarkę, gdy obaj szli do lasu.

Daremnie szukałem trzeciego, który nosił nazwę „Kapitana”... nie było go nigdzie...

Łatwo pojąć, jak gorąco pragnąłem stanąć oko w oko z tym śmiałym wynalazcą, który nie obawiał się wystąpić do walki z całą ludzkością, którego sława rozbrzmiewała po całym świecie, a który się tak dumnie tytułował „*Królem przestrzeni*”!...

Zbliżyłem się do człowieka, stojącego na przodzie statku i po chwilowem milczeniu zapytałem:

– Gdzie kapitan?

Spojrzał na mnie z pod oka, lecz nie raczył odpowiedzieć, chociaż ze słów zamienionych na brzegu, wiedziałem, że rozumie po angielsku. Obecność moja na pokładzie zdawała się nie wzruszać go wcale. Odwrócił się ode mnie plecami i w dalszym ciągu obserwował horyzont.

Wtedy zwróciłem się do sternika, chcąc mu zadać to samo pytanie, lecz on usunął mnie ruchem ręki, nie mówiąc ani słowa.

Wobec tego postanowiłem czekać cierpliwie na ukazanie się samego kapitana, który powitał nas wystrzałami z rewolweru, gdyśmy w zatoce razem z Walkerem usiłovali przyciągnąć statek do brzegu.

Tymczasem zacząłem przyglądać się „*Grozie*”.

Pokład i kasztele zbudowane były z jakiegoś metalu, którego rozpoznać nie mogłem. W środku znajdowała się kłapa, którą można było podnosić, a która prowadziła do maszyn, pracujących bardzo cicho i równomiernie.

Nie było ani komina, ani masztu, ani żagli. Przyrząd optyczny, tak zwany heryskop, ułatwiał prawdopodobnie kierowanie pod wodą. Po obu bokach pokładu znajdowały się jakieś dziwne, nieznanne mi przyrządy, których użytku nie rozumiałem wcale.

Z przodu i z tyłu statku spostrzegłem kłapy kwadratowe, które prowadziły do kajut; kłapy te, otoczone ramą z kauczuku, zamykały się bardzo szczelnie, ażeby woda nie mogła przeniknąć do wnętrza, gdy statek zanurzał się w głębiny. Nie widziałem ani motoru ani śrub, ani turbin. Zauważyłem tylko, że statek pozostawiał za sobą nikłą smugę.

Widocznym więc było, że motoru nie poruszała ani woda, ani nafta, ani alkohol, a tylko elektryczność, nagromadzona do wysokiego punktu napięcia. Gdzie było jej źródło? Czy wytwarzały ją stosy, czy akumulatory? Jakiego systemu? Czy znajdę kiedy rozwikłanie tej zagadki?

Potem myśl moja wróciła do towarzyszy wyprawy, pozostałych na brzegu zatoki. Hart był raniony, a może Wells i Walker również. Widzieli jak kotwica unosiła mnie od brzegu, prawdopodobnie sądzą, że zginąłem.

Czyż mogą przypuszczać, że zabrano mnie na pokład *Grozy*?... Wells telegraficznie zawiadomił o mojej śmierci pana Warda, któż się teraz ośmieli przedsięwziąć wyprawę przeciw Królowi Przestrzeni?

Te i tym podobne myśli tłoczyły się w mej głowie podczas gdy z niecierpliwością oczekiwałem na przyście kapitana.

Lecz ten się nie ukazywał.

Głód dokuczał mi srodze. Przeszło dwanaście godzin nic w ustach nie miałem... zdawało mi się, że się nikt o moje pożywienie... nie troszczy. Nagle człowiek, stojący na przodzie statku zeszedł na dół i wrócił po krótkiej chwili. Z radością spostrzegłem, że przyniósł mi kawał mięsa solonego, suchary i kufel czarnego piwa. Z zapalem zabrałem się do tego śniadania. Marynarze nie dotrzymywali mi towarzystwa. Widząc, że nie mają wcale zamiaru rozmawiać ze mną, pogrzyżłem się znowu w rozmyślaniach, jak się zakończy cała ta przygoda?... Czy ujrzę wreszcie tego mytycznego kapitana?... Czy zwróci mi swobodę?... Czy zdołam się wymknąć wbrew jego woli?... Prawdopodobnie będzie to zależało od okoliczności... Nie mogę nawet marzyć o ucieczce, dopóki *Groza* płynąć będzie środkiem jeziora... tem mniej jeżeli się zanurzy w głębiny... Chyba, że się przekształci na samochód...

Lecz nie miałem najlżejszej ochoty do wydostania się na swobodę przed zbadaniem tajemnic tak dziwnego statku. Wyprawa moja nie została wprawdzie uwięczona powodzeniem, nawet nieomal nie utraciłem w niej życia, lecz bądź co bądź był to ważny krok naprzód.

Groza posuwała się ciągle w kierunku północno-wschodnim, tj. w kierunku długości Erie, płynęliśmy ze średnią szybkością, pomimo to obliczałem, że za kilka godzin będziemy na

samym krańcu jeziora, tam gdzie się ono łączy z Ontario za pośrednictwem rzeki Niagary. O 15 mil poniżej Buffalo znajdują się owe sławne wodospady... Wobec tego, że kapitan nie zwrócił się na rzekę Détroit, pozostaje mu tylko przybić do brzegu i przekształcić statek na samochód.

Słońce przeszło południk. Pogoda była wspaniała, upał silny, lecz znośny, dzięki chłodzącemu wietrzykowi. Brzegów jeziora nie widać było wcale. Czyż ten kapitan nie ukaże się dzisiaj wcale?... Może nie chce bym go zobaczyć?... W takim razie ma chyba zamiar zwrócić mi swobodę, gdy dopłyniemy do brzegu?... Lecz to znów wydawało mi się niepodobieństwem!...

Wreszcie około drugiej po południu usłyszałem lekki szelest. Podniosła się kłapa środkowa i upragniony kapitan stanął przed nami.

Podobnie jak i jego podwładni nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Zbliżył się do sternika i usiadł za nim. Półgłosem zamienili ze sobą słów kilka, poczem sternik zeszedł na dół do maszyn.

Kapitan rozejrzał się dokoła, rzucił okiem na busolę, zmienił lekko kierunek statku, posuwaliśmy się naprzód ze zwiększoną szybkością.

Kapitan wyglądał na lat przeszło pięćdziesiąt. Wzrostu średniego, barczysty, wyprostowany, włosy miał szare, krótko przystrzyżone, ręce i nogi muskularne, szczęki silne, piersi szerokie i brwi ściągające się ustawicznie. Nie nosił wąsów ani faworytów, tylko gęstą krodę po amerykańsku. Widać było, że zdrowie ma żelazne, krew gorącą, energję niezłomną.

Podobnie jak i jego towarzysze ubrany był, w kostyum marynarza, płaszcz gumowy i czapkę wełnianą.

Przyglądałem mu się bacznie. Nie unikał mych spojrzeń, lecz zachowywał się z taką obojętnością, jak gdyby na pokładzie nie było nikogo obcego. Poznałem w nim odrazu jednego z tych ludzi, którzy mnie śledzili na Long Street.

Niewątpliwie poznał mnie również. Im dłużej wpatrywałem się w tę twarz charakterystyczną, tem więcej dochodziłem do przekonania że już ją widziałem, niegdyś jeszcze przed spotkaniem na Long-Street, tylko gdzie?... Może na jakiejś fotografii za szybą wystawową lub w biurze informacyjnym... Wspomnienie pozostało bardzo niejasne, może zresztą, było to tylko złudzenie wyobraźni...

Czy zrobi mi więcej honoru, niż jego załoga i zechce odpowiedzieć na pytania?... Muszę się przecież dowiedzieć, jakie względem mnie żywi zamiary... Chyba nie zechce pozbawiać życia?... W takim razie byłby mnie przecież pozostawił własnemu losowi w zatoce Black-Rock!... Powstałem z miejsca i stanąłem przed nim.

Spojrzał na mnie oczami płonącymi.

– Pan jesteś kapitanem? – zapytałem.

Milczenie.

– A statek ten... to *Groza*?...

Żadnej odpowiedzi.

Zbliżyłem się jeszcze o krok i chciałem go schwycić za ramię.

Odrzącił mnie lekko, lecz ruch ten zdradzał siłę niezwykłą.

Podszedłem ku niemu po raz drugi.

– Powiedz mi pan, jakie masz względem mnie zamiary? – zapytałem już mniej spokojnie.

Zdawało mi się, że z ust jego, ściągniętych gniewem zerwą się jakieś słowa. Powstrzymał się jednak i odwrócił głowę, ręką oparł się o regulator.

Maszyna zaczęła funkcjonować z większą szybkością.

Opanowała mnie wściekłość. Chciałem krzyknąć: – Dobrze! milcz pan, jeżeli się tak panu podoba... wiem dobrze kim jesteś! Nazywasz siebie Królem Przestrzeni... A statek ten, to słynna *Groza!*... Napisałeś pan list do rządu amerykańskiego i do mnie... Wyobrażasz pan sobie, że jesteś dosyć potężny, ażeby wyzwąć do walki świat cały!...

Czyżby mógł zaprzeczyć?. Inicjały K. P. widziałem na sterze.

Szczyściem stłumiłem gniew, a wiedząc, że nie otrzymam odpowiedzi, wróciłem na dawne miejsce ... Siedziałem tam długie godziny wpatrując się w horyzont i oczekując ukazania się ziemi.

ROZDZIAŁ XIV

Niagara.

Czas upływał, a w położeniu mojem nic się nie zmieniało. Sternik wrócił do rudła, a kapitan do maszyn, pomimo zwiększonej szybkości *Groza* posuwała się cicho. Ani razu nie doznałem wstrząśnień, nieuniknionych przy systemie walców. Stąd wnioskowałem, że zastosowano tutaj system kołowy, lecz przypuszczeń moich stwierdzić nie mogłem.

Płynęliśmy ciągle w kierunku północno-wschodnim, t. j. ku Buffalo. Nie wątpiłem, że staniemy tam przed nocą.

– Jakże jednak kapitan mógł się odważyć na obranie tej drogi?... Czyżby miał zamiar stanąć na kotwicy w porcie tak ludnym, wśród tylu statków rybackich i handlowych?... Wypłynąć z Erie nie może, ponieważ wodospady Niagary zagrodzą mu drogę... A może oczekuje nadejścia nocy, ażeby zbliżyć się do brzegu i przekształcić statek na samochód?...

Jeżeli podczas wylądowywania na ziemię nie uda mi się wymknąć niepostrzeżenie, wszelka nadzieja na odzyskanie swobody będzie stracona!...

Wprawdzie zostając przy boku Króla Przestrzeni mogę zbadać, gdzie się ten dziwny człowiek ukrywa tak umiejętnie, że dotąd żadne oko wysledzić go nie zdołało! Lecz kto wie, czy on już nie wydał na mnie wyroku śmierci?... Może czeka tylko chwili odpowiedniej?...

Wschodnią część jeziora znałem doskonale, przed trzema laty bowiem z powodu ważnej sprawy spędziłem czas dłuższy w stanie New-York, między Albany i Buffalo. Wtedy zwiedziłem dokładnie wodospady, główne wyspy, leżące między Buffalo i Niagara-Falls, potem wyspę Navy i wyspę Goat-Island, która dzieli wodospad amerykański od kanadyjskiego.

Gdyby się więc nadarzyła sposobność do ucieczki znalazłbym się w okolicy znajomej. Czy jednak istotnie pragnąłbym z takiej sposobności skorzystać?. Ileż tajemnic niezbadanych przykuwa mnie do statku, na który los pomyślny – może nieprzyjazny – los wczoraj mnie rzucił.

Zresztą niema co nawet i myśleć o brzegach Niagary – przecież tam popłynąć nie możemy!

Łamałem sobie głowę, dlaczego napisał do mnie ten list grożący i dlaczego śledził mnie w Waszyngtonie... W ogóle, co go obchodziła sprawa Great-Eyry?... Za pomocą kanałów podziemnych mógł się dostać na jezioro Kirdallskie, lecz nawet przy pomocy tak niezwykłego przyrządu, jak *Groza*, nie zdoła przebyć czwartego pierścienia skał na Great-Eyry!...

Od czasu do czasu na dalekim horyzoncie widywaliśmy jakieś statki lecz te nas mijały, nie spostrzegając *Grozy*, którą trudno było zauważyć.

Tymczasem w oddali zaczęły się już zarysowywać wzgórza, tworząc na krańcu jeziora rodzaj lejka, przez który Erie wlewa swe wody do koryta Niagary. Na prawo łagodne zagłębienia urozmaicały wybrzeże. Tu i owdzie sterczały grupy drzew. Z dala dostrzegałem statki rybackie i handlowe, szalupy i parowce, ku niebu wznosiły się słupy dymów, poruszane lekkim wietrzykiem.

Ciekawość moja doszła do najwyższego punktu natężenia. Cóż zamyśla kapitan posuwając się w najlepsze, drogą ku Buffalo?... Ciągłe oczekiwałem jakiegoś sygnału do odwrotu albo do zanurzenia się w głębinę Erie!...

Nagle sternik, nie spuszczający oczu z północo-wschodu, skinął na swego towarzysza. Ten zeszedł natychmiast do maszyn

Za chwilę na pokładzie ukazał się kapitan, podszedł do sternika i zaczął z nim rozmowę po cichu. Sternik wskazywał mu ręką dwa ciemne punkty w kierunku Buffalo, odległe mniej więcej na 5-6 mil.

Kapitan przyglądał się im uważnie, poczem ruszył ramionami i usiadł przy rudlu nie zmieniając bynajmniej kierunku drogi.

W kwadrans później rozpoznałem dwa słupy dymu, zarysowujące się na północno-wschodniej stronie horyzontu. Zbliżały się ku nam z szybkością ogromną. Nagle przyszło mi na myśl, że są to prawdopodobnie, parowce, o których wspominał pan Wells i którym powierzono ścisły nadzór nad jeziorem. Zbudowane według najnowszego systemu mogły przebyć dwadzieścia siedem mil na godzinę.

Szybkość ich jednak nie dorównywała szybkości *Grozy*, która przytem, w razie niebezpieczeństwa mogła się przekształcić na statek podwodny i ujść przed pogonią.

Parowce spostrzegłszy *Grozę* pędziły ku niej o ile mogły najszybciej. Widocznem było, że chcą ją wziąć we dwa ognie, odciąć od Buffalo i wepchnąć w ten kąt jeziora, skąd niema innego wyjścia prócz Niagary. Nie wątpiłem już, że parowce te wysłał pan Wells.

Kapitan zasiadł przy rudlu, jeden z załogi zeszedł na dół, a drugi stał na przodzie statku.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi.

Głęboko wzruszony i podniecony nie spuszczałem oka z parowców, odległość między nami zmniejszyła się do 2 mil.

Na twarzy Króla Przestrzeni malowała się wzgarda najwyższa. Wiedział, że nie grozi mu nic... Każdej chwili mógł statek swój zanurzyć w głębiny, gdzie go kule armatnie nie dosięgną.

Ułynęło jeszcze dziesięć minut. Już tylko jedna mila dzieliła nas od parowców.

Kapitan zachowywał się najobojętniej w świecie, zwiększył tylko szybkość *Grozy*, jak gdyby chciał igrzać z prześladowcami, albo, gdy noc zapadnie, prześliznąć się między nimi.

Na prawym brzegu jeziora zarysowało się Buffalo. Coraz wyraźniej odróżniałem jego gmachy, dzwonnice, elewatory. Trochę ku północo-zachodowi, najwyżej o 4-5 mil, wody jeziora zlewały się do Niagary.

Co należało mi uczynić? ... Będąc wybornym pływakiem mogłem zeskoczyć z pokładu, gdy się znajdziemy między parowcami... a ztamtąd z pewnością dadzą mi pomoc.

Co prawda na Niagarze miałbym szanse dużo lepsze. Mógłbym się rzucić w pław około wyspy Navy, którą znam wybornie... Czy mogę jednak rachować na to, że kapitanowi starczy odwagi, by obrać tę właśnie drogę? Przecież wodospadów przebyć nie zdoła, nawet mając do swego rozporządzenia taki statek jak *Groza*.

Nie mogłem się zdobyć na decyzję... Co prawda, żał mi też było opuszczać stanowisko, na którym miałem możliwość zbadania palącej mnie tajemnicy... Nie chciałem więc rozstawać się z *Grozą* i tymi dziwnymi ludźmi!...

Było już po szóstej Parowce zbliżały się coraz więcej. Chwila jeszcze, a znajdziemy się między nimi.

Nie ruszyłem się z miejsca. Jeden z marynarzy stał tuż obok mnie.

Nieruchomo, z oczami płonącymi, z brwiami ściągniętymi kapitan zdawał się wyczekiwać chwili odpowiedniej do wykonania ostatniego manewru.

Nagle z lewego parowca rozległ się wystrzał, kula musnęła powierzchnię wody i przeszła przed samym dziobem *Grozy*.

Wyprostowałem się. Marynarz, znajdujący się za mną spojrzał pytająco na kapitana. Ten nie odwrócił nawet głowy. Nigdy nie zapomnę wyrazu głębokiej pogardy jaką tchnęły rysy jego energicznej twarzy.

Równocześnie wepchnięty zostałem do kajuty i usłyszałem stuk zamykanej kłapy, chwila jeszcze i statek zagłębił się w wodę.

Do uszu moich dochodził głuchy łoskot wystrzałów armatnich. Potem wszystko ucichło. Przez okienko kajuty przedzierały się jakieś blade blaski – *Groza* bez żadnego kołysania się mknęła cicho przez Erie. Zdumiony byłem niesłychaną szybkością i łatwością z jaką się dokonało przekształcenie *Grozy* na statek podwodny.

Cóż teraz pocnie nieustraszony Król Przestrzeni?... Najprawdopodobniej zmieni kierunek drogi, albo też zbliży się do brzegu i zmieni przyrząd podwodny na samochód.

Przypuszczenia moje nie sprawdziły się wcale. Po upływie najwyżej dziesięciu minut usłyszałem jakiś ruch niezwykły. Nastąpiła bystra wymiana słów urywanych. Maszyny funkcjonowały z niezwykłym stukiem i hałasem. Domyśliłem się, że się coś zepsuło i statek musi znowu wypłynąć na powierzchnię wody.

Tak się też i stało. Za chwilę blaski wieczorne wpadły do mojej kajuty. Na pokładzie usłyszałem kroki, otworzono klapę... W mgnieniu oka byłem już na pokładzie. Kapitan siedział u steru.

Parowce znajdowały się najwyżej o ćwierć mili. Skoro tylko spostrzegą *Grozę* znowu rozpoczną pogoń. Płynęliśmy w kierunku Niagary. Wyznaję, że kombinacji kapitana nie rozumiałem zupełnie. Stracił chyba rozum, jeżeli wybiera drogę przez rzekę, z której niema wyjścia. A może chce się zbliżyć do brzegów i uciekać lądem?... Zresztą mógłby przecież płynąć z większą szybkością, wyprzedzić swych prześladowców i pod osłoną nocy zniknąć im z oczu, zawracając chociażby ku zachodowi.

Buffalo zostało na prawo. Trochę po siódmej ujrzelśmy Niagarę.

Co teraz robi kapitan?... Spokojny, obojętny nie raczył nawet obserwować parowców. Jezioro było zupełnie puste. Nie widzieliśmy nawet łódki rybackiej.

Niagara oddziela terytorium kanadyjskie od amerykańskiego. Szerokość jej wynosi prawie 3/4 mili; zbliżając się ku wodospadom rzeka zwęża się znacznie. Przestrzeń między Erie a Ontario równa się piętnastu milom. Różnica między poziomem wód Erie, a Ontario wynosi 340 stóp; wysokość wodospadu ma przeszło 150 stóp. Wodospad nosi nazwę „*Wodospadu podkowy*” ponieważ przypomina nieco kształt podkowy; Indianie zowią go „*Wodo-grzmotem*”, huk bowiem spadających wód podobny jest do huku grzmotu, który się rozlega nieustannie i słyszeć się daje w promieniu wielu mil dokoła. Między Buffalo a miasteczkiem Niagara-Falls znajdują się dwie wyspy: wyspa Navy o milę powyżej „wodospadu podkowy” i wyspa Goat-Island, oddzielająca wodospad kanadyjski od amerykańskiego. Na cyplu tej wyspy, prawie nad samą przepaścią, wznosiła się niegdyś wieża *Żółwia*; dzisiaj ją zwałono wobec cofania się bowiem wodospadu, fale byłyby ją uniosły w otchłań bezdenną.

Na wysokości wyspy Navy leżą dwa miasteczka: Schlosser na prawym brzegu Niagary, Chipewa na lewym. Stąd już prąd rzeki staje się gwałtowniejszy, a o dwie mile poniżej wody spadają z wysokości 150 stóp, tworząc sławne wodospady.

Groza minęła fort Erié. Słońce chyliło się ku zachodowi, a okrągła tarcza księżycy wychylała się z mgieł południo-wschodu.

Za godzinę zapadnie noc.

Parowce, pędząc całą siłą pary oddalone były jeszcze prawie o milę. Mknęliśmy szybko wśród brzegów, ocienionych drzewami i zielonemi równinami, wśród których bieleły się gęste dworki.

Nie mogłem pojąć taktyki kapitana. Za pół godziny najwyżej zagrodzą nam drogę wodospady. Odwrót uniemożliwiały parowce, któreby niewątpliwie zatopiły... *Grozę*.

Muszę się więc zdecydować wreszcie na ucieczkę, rzucić się w pław i dostać się na wyspę Navy. Lecz czułem, że teraz właśnie jestem śledzony pilnie. Jeden z marynarzy nie spuszczał mnie z oczu. A więc los mój związany ściśle z losem Króla Przestrzeni!

Odległość między *Grozą* a parowcami, zmniejsza się z każdą chwilą. Czyżby wskutek ostatniego wypadku cudowny statek nie mógł się już poruszać z większą szybkością?... kapitan jednak nie zdradza najmniejszego niepokoju... nie zbliża się do brzegu.

Z jednej strony słyszemy gwizd wypuszczanej pary, widzimy gęste słupy czarnego dymu – z drugiej dochodzi nas ryk wodospadów, odległych najwyżej o trzy mile.

Płyniemy w pobliżu lewego brzegu rzeki, mijamy Navy. Przed nami widnieją już wysokie drzewa na Goat-Island. Prąd staje się coraz bystrzejszy... Za chwilę parowce zmuszone będą zaprzestać pogoni... Nie mogą przecież ścigać przeklętego kapitana w spienionych nurtach wodogrzmotu, nie pójdą za nim w przepaść, 180 stóp głęboką.

Istotnie, przeciągły świst maszyn – rozdziera powietrze; parowce zatrzymują się na odległości 500-600 stop od wodospadu. Rozlegają się wystrzały. Kilka kul armatnich przelatuje ponad *Grozą*, nie wyrządzając jej szkody.

Słońce zaszło. Księżyc rzuca swe srebrne promienie na pogrążoną w mrokach ziemię. Szybkość prądu podwaja szybkość *Grozy*. Za chwilę uniesie nas ku czarnej, groźnej otchłani...

Z przerażaniem spoglądam na znikające brzegi Goat-Island. Drobnouchne bryzgi spienionych wód uderzają mnie po twarzy, chłodząc rozpalone czoło.

Powstaję z miejsca, by rzucić się w rzekę.

Lecz ręka marynarza chwytą mnie za ramię.

Równocześnie uszu moich dochodzi głośny huk motoru. Duże, dotąd niezrozumiałe dla mnie przyrządy, umieszczone po obu bokach statku, roztaczają się na podobieństwo skrzydeł... *Groza* wznosi się w przestrzeń, a w sekundę później przelatuje ponad ryczącym wodospadem, oblanym potokami seledynowego światła.

ROZDZIAŁ XV

Gniazdo orle.

Kiedy nazajutrz zbudziłem się z ciężkiego snu, *Groza* stała bez ruchu. Zrozumiałem to odrazu. Czy miałem ztąd wnioskować, że się już znajdujemy w owej tajemniczej kryjówce, której dotąd odnaleźć nie mogła żadna istota ludzka?...

Kapitan zabrał mnie z sobą... Czyżby zamierzał odsłonić przede mną tak starannie ukrywaną tajemnicę?...

Dziwnem się może wydać, że podczas podróży napowietrznej zasnąłem tak gładoko. Nie mogłem pojąć, jak się to stało. Przypuszczam, że do jedzenia dosypano mi jakichś proszków usypiających. Zapewne w ten sposób chciał mnie kapitan pozbawić możliwości zorientowania się kędy i dokąd lecimy. Ostatnie wrażenie, które zapamiętałem, było niezwykle potężne... Miałem wciąż jeszcze przed oczami te chwile, kiedy *Groza*, którą już prawie porywały kłęby spienionej wody potężnym ruchem olbrzymich skrzydeł uniosła się w powietrze...

A zatem niezwykle przyrząd Króla Przestrzeni miał zastosowanie czworakie: służył do jeżdżenia po ziemi, do pływania po powierzchni wody, pod wodą i do latania w powietrzu. W każdym środowisku mógł się poruszać z niepraktykowaną dotąd siłą, łatwością i szybkością! Przekształcenia dokonywały się w czasie niesłychanie krótkim! Motor był zawsze jeden i ten sam... lecz skąd czerpał źródło swej energii o tem nie miałem pojęcia... Kim był ten genialny Król Przestrzeni, którego zręczność i odwagę mogłem podziwiać wczoraj?

Gdy przelatywaliśmy ponad wodospadem wieczór był jasny, widziałem więc doskonale, jak o trzy mile minęliśmy most Suspension, poniżej wodospadu Podkowy, gdzie prąd rzeki jest najsilniejszy. Stąd też Niagara zwraca się ku Ontario. Zaraz za mostem skierowaliśmy się lekko ku wschodowi. Kapitan stał zawsze przy sterze. Kierował *Grozą* z łatwością zupełną. Widocznie w powietrzu czuł się równie bezpiecznym, jak na łądzie i morzu.

Wobec podobnych rezultatów przestała mnie zadziwiać bezdena pycha tego, który mianował siebie Królem Przestrzeni. Miał przecież do swego rozporządzenia przyrząd jedyny w swoim rodzaju, przewyższający wszystko, co dotąd stworzył rozum ludzki, i z którym wszelka walka była niepodobieństwem... Pocóż miał go sprzedawać za miliony?... Cóżby za nie mógł nabyć lepszego?

W pół godziny później ogarnęło mnie obezwładnienie zupełne. Nie pozostał mi nawet cień wspomnienia, co zaszło później owej nocy z 31 lipca na 1 sierpnia.

Obudziłem się w tej samej kajucie, w której spędziłem noc na jeziorze Erie. Skonstatowałem odrazu, że *Groza* znajduje się w spoczynku zupełnym. Nie odczuwałem najlżejszych poruszeń. Widocznie znajdowaliśmy się gdzieś na łądzie. Spróbowałem podnieść klapę, wiodącą na pokład. Daremnie.

Czyżby trzymano mnie w zamknięciu aż do chwili, gdy *Groza* rozpocznie znowu wędrówkę napowietrzną lub podwodną?...

Łatwo zrozumieć niepokój i gorączkową niecierpliwość, które mnie ogarnęły.

Po upływie kwadransa usłyszałem jakiś hałas, jakby szmer podnoszonych sztab. Otwarto klapę, potoki światła i powietrza zalały kajutę.

Jednym skokiem znalazłem się na pokładzie. Oczy moje skwapliwie objęły horyzont.

Znajdowaliśmy się na ziemi. *Groza* stała w środku owalnej płaszczyzny, pokrytej żółtawym zwirem i mającej od 15-18 stóp w obwodzie. Dokoła wznosiły się wysokie skały. Nigdzie ani jednej trawki. Poniżej rozciągało się jakby morze gęstej mgły, przez którą nie przebijał się ani jeden promyk słońca. Lekkie obłoczki czepiały się nawet piaszczystego dna platformy.

Widocznie rano było jeszcze wczesny. Uczuwałem silny chłód, pomimo, że był to 1-y sierpnia. Wnioskowałem ztąd, że się znajdujemy na znacznej wysokości, lecz gdzie mianowicie... nie miałem najmniejszego pojęcia. Od chwili odlotu z nad Niagary upłynęło najwyżej godzin dwanaście, *Groza* więc nie miałaby czasu na przebycie Atlantyku lub oceanu Spokojnego. Byliśmy więc stanowczo na terytorium Nowego Świata. Niekiedy wśród mgły zarysowywały się sylwetki dużych ptaków drapieżnych, które swym krzykiem chrapliwym zakłócały głęboką ciszę poranka. Może przeraził je widok potwora o skrzydłach potężnych, z którym się mierzyć nie mogli ani co do siły ani co do szybkości.

Nagle ujrzałem kapitana. Wysunął się z pomiędzy grupy głazów skąpanych we mgle. Na mnie nie spojrział.

Obaj towarzysze zbliżyli się ku niemu. Po chwili wszyscy zniknęli w grotcie, otwierającej się u stóp skał. Miałem więc swobodę zupełną. Postanowiłem skorzystać z dobrej sposobności i przyjrzeć się bliżej *Grozie*.

Wszystkie kłapy z wyjątkiem tej, która prowadziła do mojej kajuty, były zamknięte na głucho. O zbadaniu zatem wewnętrznej budowy statku nie mogłem nawet marzyć.

Wobec tego zeskoczyłem na ziemię i zacząłem oglądać *Grozę* z zewnątrz. Miała ona kształt wrzecionowaty, z przodu więcej zaokrąglony niż z tyłu, pudło z aluminium, a skrzydła z jakiegoś dziwnego, nieznanego mi wcale materiału. Cztery koła o dwustopowej średnicy obwiedzione były gumą, która zapewniała cichość biegu nawet przy największej szybkości.

Szprychy kół rozszerzały się, tworząc rodzaj szufli, ułatwiało to niezmiernie poruszanie się na wodzie i pod wodą.

Główną część mechanizmu stanowiły dwie turbiny Parsona, umieszczone po obu stronach statku w kierunku jego długości. Wprawiane w ruch obrotowy przez jakiś motor nieznaną, przenosiły statek przez przestrzeń wodną z szybkością niesłychaną. Kto wie czy nie ułatwiały równocześnie lokomocji w powietrzu?... Niewątpliwie jednak do szybowania w przestrzeni służyły olbrzymie skrzydła, które w stanie spoczynku przylegały ściśle do jego boków.

A zatem przyrząd do latania oparty był na zasadzie ciężkości większej od powietrza.

Siłą, poruszającą mechanizm tak niezwykły, mogła być tylko elektryczność. Z jakiego źródła czerpały ją akumulatory? Może właśnie w jednej z tych pieczar podziemnych, w której się ukryli marynarze, pracowały potężne dynamomaszyny wytwarzające niewyczerpane zapasy energii?

Obejrzałem koła, turbiny, skrzydła, lecz mechanizm wewnętrzny i siła poruszająca pozostały dla mnie zagadką. Cóżby mi zresztą przyszło z odsłonięcia tej tajemnicy, jeżeli do końca życia pozostać mam więźniem Króla Przestrzeni?!

Przyświecała mi wprawdzie, nadzieja ucieczki... Lecz czy się nadarzy sposobność odpowiednia?... i kiedy?...

Przedewszystkiem należało zbadać miejsce, gdzieśmy się znajdowali obecnie. Czy istnieje jakiegokolwiek połączenie między tą płaszczyzną zamkniętą, a światem otaczającym? jakie wyjście z pośród tych wysokich, zwartych skał? Jak daleko jesteśmy od Erie? W jakiej części Stanów Zjednoczonych?

Coraz uparciej nasuwało mi się przypuszczenie czy tem gniazdem skalistym nie jest owo Great-Eyry, dostępne jedynie dla orłów i sępów? Lecz dla Króla Przestrzeni świat cały stoi

otworem. Mógł więc założyć swą siedzibę w miejscu, gdzie go najczujniejsza policja wytropić nie zdoła, a żadne zamachy nie osiągną. Odległość między Great-Eyry i Niagara-Falls wynosi najwyżej 450 mil, zatem *Groza* bez trudu mogła je przebyć w przeciągu nocy.

Myśl ta wypierała powoli wszystkie inne przypuszczenia... Zaczynałem pojmywać związek, zachodzący między Great-Eyry i listem podpisanym inicjałami K. P., a Królem Przestrzeni i tajemniczym jego wehikułem. Groźby, wyrażone w liście, śledzenie moich kroków, niezrozumiałe zjawisko... wszystko to powoli stawało się jasnym... Gdybyż się tylko mgły rozproszyły prędzej!... Możebym rozpoznał cośkolwiek... możeby się wreszcie moje przypuszczenia zamieniły w pewność?...

Postanowiłem płaszczyznę obejść wokoło.

Ponieważ kapitan i obaj jego towarzysze znajdowali się w grocie północnej, rozpocząłem badania od strony południowej.

O wysokości skalistej poszarpanej ściany nic sędzić nie mogłem, wierzchołki jej bowiem tonęły we mgle. Jedno tylko rzuciło mi się w oczy, a mianowicie gatunek skały był to szpat polny, tworzący cały łańcuch Alleghanów.

Kapitan i jego towarzysze nie wychodzili z groty, przed którą stały skrzynie, przywiezione z Black-Rock. Widocznie zajęci byli ich rozpakowywaniem.

Posuwałem się naprzód z wielką ostrożnością, rozglądając się bacznie dokoła. Tu i owdzie dostrzegałem kawałki drzewa, kupki zeschniętych traw, odcisnięte na piasku ślady kroków ludzkich. Najwięcej uderzyły mnie grube pokłady popiołu, odłamki zwęglonych desek i belek, okucia metalowe, zniszczone przez ogień, i resztki popalonych części jakiegoś mechanizmu.

Widocznie miejsce to, niezbyt dawno jeszcze było widownią olbrzymiego pożaru. I znowu mimowoli przyszyły mi na myśl tajemnicze zjawiska na Great-Eyry, buchające płomienie, huk zagadkowy i hałasy dziwne, które takim przerażeniem napełniły mieszkańców Pleasant-Garden i Morgantonu. Wtem powiał od wschodu wichur gwałtowny i rozdarł mgły. Potoki światła zalały płaszczyznę.

Z piersi mej wyrwał się okrzyk!...

Na wschodniej stronie skalistego zrębu ujrzałem sylwetkę skały, przypominającą orła z rozpostartymi skrzydłami, którą zauważyliśmy z p. Eliaszem Smithem podczas wyprawy na Great-Eyry!...

A zatem wątpliwości skończone! Potężny, olbrzymi ptak, gienjalny twór Króla Przestrzeni, gnieździł się na Great-Eyry, gdzie nikt inny dostać się nie mógł... A może istnieje jakieś przejście podziemne, które pozwala kapitanowi wydostać się na świat szerszy, pozostawiając *Grozę* w bezpiecznym schronieniu?!...

Nareszcie więc zrozumiałem wszystko, co dotąd było dla mnie zagadką palącą. W myśli mej przesuwają się kolejno wszystkie tajemnicze, niepokojące zjawiska i wypadki. Stałem nieruchomo wpatrzony w sylwetkę kamiennego orła, a myśli najsprzeczniesze kotłowały pod czaszką... Czyż obowiązek nie nakazuje mi pokusić się o zniszczenie przyrzędu, który tyle szkody wyrządził może ludzkości?...

Poza mną rozległy się jakieś kroki.

Obróciłem się...

To kapitan zbliżał się powoli, patrząc mi prosto w oczy.

Straciłem panowanie nad sobą. Z ust mych zerwały się wyrazy:

– Great-Eyry! Great-Eyry!

– Tak, inspektorze Strock!

– A pan... pan jesteś Królem Przestrzeni!

- I panem świata, któremu już pierwej dałem się poznać, jako najpotężniejszy z ludzi.
- Pan?! – zawołałem w zdumieniu najwyższem.
- Tak, ja! – odparł prostując się dumnie – jestem Robur... Robur zwycięzca!...

ROZDZIAŁ XVI

Robur zwycięzca.

Wzrost średni, ramiona kwadratowe, szyja herkulesowa, muskularna, głowa okrągła, oczy płomienne, mięsień brwiowy, ściągający się kurczowo, oznaka energii niezłomnej; włosy krótkie lekko kędzierzawe, z połyskiem metalicznym, piersi szerokie, wznoszące się i opadające jak miech kowalski, ręce, ramiona i nogi jakby wykute z kamienia, szeroka amerykańska bródka, pozwalająca podziwiać potężną budowę szczęk, której mięśnie żuchwowe zdawały się posiadać siłę niezwykłą – oto portret człowieka, który dnia 12-go czerwca 19... ukazał się w Filadelfii, na posiedzeniu Instytutu Weldona.

Ten człowiek niezwykle stał dziś przede mną w niedostępnym gnieździe skalistym, rzucając mi swe imię rozgłośnie jako groźbę lub wyzwanie.

Tutaj muszę w krótkości przypomnieć zdarzenia, które niegdyś ściągnęły na Robura uwagę całej Ameryki.

12-go czerwca wieczorem w Filadelfii na posiedzeniu Instytutu Weldona omawiano kwestyę kierowania balonami. Prezesem był wtedy Uncle Prodent, jedna z najwybitniejszych osobistości Pensylwanii, a sekretarzem Phil Evans.

Dzięki staraniom rady administracyjnej zbudowano balon, którego objętość wynosiła czterdzieści tysięcy metrów sześciennych. Przypuszczano, że balon ten będzie mógł się poruszać w kierunku poziomym za pomocą maszyny dynamoelektrycznej, lekkiej i potężnej, która miała wprowadzić w obrót śrubę. Gdzie jednak umieścić ją należało? Co do tej kwestyi, członkowie Instytutu w żaden sposób porozumieć się nie mogli. Jedni twierdzili, że z tyłu, drudzy, że na przodzie łódki.

Tego wieczora dyskusja była tak ożywiona, że nieomal doszło do walki. W chwili największego roznamiętnienia woźny oznajmił, że jakiś cudzoziemiec domaga się wprowadzenia go na salę obrad.

Był to Robur. Udzielono mu prawa głosu. Gdy zaczął mówić zapanowała cisza głęboka. Wychodząc z zasady, że człowiek opanował morze przy pomocy statków żaglowych, kołowych lub śrubowych, Robur twierdził, że przyrządy do latania muszą być cięższe od powietrza, ażeby się w niem mogły poruszać swobodnie.

Była to nieustająca kwestya sporna. Tym razem większość członków oświadczyła się za zasadą ciężkości mniejszej od powietrza. Walka toczyła się z taką zaciętością, że Robur, któremu przeciwnicy nadali ironiczne miano zwycięzcy, zmuszony został do opuszczenia sali.

W kilka godzin później, prezes i sekretarz instytutu, oraz towarzyszący im lokaj Frycolin przechodząc przez Fairmont-Park zostali porwani przez jakichś ludzi nieznanych, którzy zakneblowali im usta, związali ręce, zaprowadzili w głąb parku, i mimo oporu wsadzili do dziwnego przyrządu, ukrytego na oddalonej polance. Nazajutrz trzej więźniowie wraz z Roburem szybowali w przestrzeni, przelatując ponad okolicą, która wydawała się im całkiem obcą.

Uncle Prudent i Phil Evans sprawdzili na podstawie własnego doświadczenia, że przyrząd do latania, oparty na zasadzie ciężkości większej od powietrza, odpowiadał w zupełności swemu przeznaczeniu.

Przyrząd ten, obmyślony i wykonany przez inżyniera Robura, polegał na dwojakim działaniu śruby, która przy obrocie postępuje w kierunku swej osi. Jeżeli oś tkwi pionowo, balon wznosi się w kierunku pionowym; jeżeli poziomo, balon posuwa się naprzód po linii poziomej.

Długość Albatrosa wynosiła trzydzieści metrów. Z przodu i z tyłu statku umieszczone były śruby okrętowe. Prócz tego znajdował się jeszcze cały system śrub, osadzonych na osiach pionowych: po piętnaście z każdej strony pudła i siedem w środkowej części przyrządu. Dumnie sterczało trzydzieści siedem masztów, opatrzonych nie żaglami, lecz prętami, którym maszyny, ustawione na dnie statku, nadawały ruch obrotowy, szybkości zdumiewającej.

Siłą poruszającą motor, była niewątpliwie elektryczność, lecz nikt się nigdy nie dowiedział, skąd ją czerpał genialny wynalazca. Najprawdopodobniej z otaczającego powietrza, zawsze mniej lub więcej naładowanego elektrycznością; podobnie ów słynny kapitan Nemo do poruszania swego Nautilusa brał elektryczność z otaczającej wody.

Zresztą tajemnicy tej nie zbadał ani Uncle Prudent ani Phil Evans w przeciągu całej napowietrznej wędrówki.

Załoga Robura składała się z ośmiu ludzi: z nadzorcy Turnera, trzech maszynistów, dwu pomocników i kucharza.

– Przyrząd mój – mówił Robur – do ludzi, którzy wbrew swej woli wzięli udział w jego podróży, daje mi panowanie nad przestrzenią, nad Ikaryą powietrzną, siódmą częścią świata, która obszarem swym przewyższa Europę, i Amerykę i Afrykę i Azyę i Australię i oceany razem wzięte.

Biedny Uncle Prudent i Phil Evans rozpoczęli awanturczą wyprawę na pokładzie Albatrosa. Wymawiali się daremnie. Protest ich Robur odrzucił prawem silniejszego. Musieli się zastosować do jego woli.

Albatros pędził ku zachodowi. Przeleciał ponad olbrzymim łańcuchem Gór Skalistych, ponad równinami Kalifornii, minął San Francisco, północną część oceanu Spokojnego, Kameczatkę. Oczom podróżników ukazywały się kolejno krainy Państwa Niebieskiego; podziwiali malowniczy Pekin otoczony murem poczwórnym. Potem Albatros wzniósł się jeszcze wyżej, przeleciał ponad śnieżnymi szczytami i błyszczącymi lodowcami Himalajów, ponad Persyą i morzem Kaspijskiem. Tu przekroczono granicę Europy i zбочono nieco z kierunku zachodniego, zwracając się ku dolinie Wołgi. Ludność Moskwy, Petersburga, Finlandyi i wybrzeży Bałtyku ze zdumieniem patrzyła na ten niezwykle statek napowietrzny.

Podróżnicy przecięli półwysep Skandynawski po linii, wiodącej od Sztokholmu do Chrystyanii, poczem skierowali się na południe, dążąc przez Francję ku Włochom. Nad Paryżem Albatros obniżył swój lot i zawisł ponad stolicą świata, rzucając na zdumioną ziemię snopy lśniących promieni.

Robur i jego towarzysze przemknęli ponad Florencją, Rzymem i Neapolem; przerzynając ukośnie morze Śródziemne znaleźli się ponad olbrzymią Afryką koło przylądka Spartel. Tu znowu zmienili kierunek: zwrócili się ku wschodowi, przelecieli ponad Marokko, Algierem, Tuniszem, Trypolisem aż do Egiptu. Później pomknęli ku Timbuktu, a ztamtąd przez Sudan do Atlantyku.

Trzymając się ciągle kierunku południowo-zachodniego, przelatywał Albatros ponad rozległą wodną płaszczyzną. Nie straszyły go ani burze gwałtowne, ani trąby powietrzne. Zimna krew i zręczność sternika wyprowadzała zawsze z niebezpieczeństwa.

Przy wejściu do cieśniny Magellana ujrzeli znowu ziemię. Od przylądka Horn skierowali się na południe, pod nimi rozciągały się puste, bezludne krainy oceanu Antarktycznego; przebyli walkę z cyklonem i dosięgli ziemi Grahama; w blaskach wschodzącej zorzy

południowej godzin kilka kołysał się balon nad samym biegunem. Poczem silny huragan uniósł go aż do ziejącego ogniem wulkanu Erebusa. Cudem zaledwie zdołali uniknąć zguby.

W końcu lipca wrócili znowu ponad ocean Spokojny. Wreszcie na wybrzeżu jednej z wysp oceanu Indyjskiego zarzucili kotwicę. Poraz pierwszy od chwili odjazdu Albatros, utrzymywany w powietrzu przez sprężyny hamujące, zawisł nieruchomo, na wysokości stu pięćdziesięciu stóp ponad ziemią.

Była to wyspa Chatham, położona o 15° na wschód od Nowej Zelandyi. Albatros musiał się tutaj zatrzymać dla naprawienia uszkodzeń, które wyrządził ostatni huragan.

Następnie Robur miał zamiar wyruszyć na wyspę X, leżącą na oceanie Spokojnym i oddaloną o 2800 mil, gdzie niegdyś zbudował swój statek cudowny.

Uncle Prudent i Phil Evans jasno sobie zdawali sprawę, że ich przymusowa wędrówka może się przedłużyć do nieskończoności. Bliskość ziemi wydała się im wyborną sposobnością do ucieczki.

Lina przyczepiona do kotwicy miała zaledwie sto pięćdziesiąt stóp długości. Nie trudno więc było w nocy spuścić się po niej ku ziemi, z nadejściem świtu jednak spostrzeżonoby niewątpliwie ucieczkę i schwytano deztererów.

Wobec tego nieszczęśliwi jeńcy zdobyli się na pomysł zuchwały: oto postanowili zaopatrzyć się w nabój dynamitowy, który można było wziąć niepostrzeżenia z zapasu amunicji Albatrosa i wysadzić w powietrze statek wraz z jego załogą i Roburem. Mieli nadzieję, że, nim lont się spali, oni zdążą spuścić się po linie i z ziemi przyglądać się będą zniszczeniu Albatrosa, z którego nie pozostanie nawet szczątków.

Zamiar swój wykonali. Zapalili lont i ostrożnie spuścili się na ziemię. Lecz ucieczkę ich zauważono natychmiast. Z pokładu rozległy się wystrzały, szczęściem jednak nie dosięgły żadnego z uciekinierów. Wtedy Uncle Prudent przeciął linę Albatros zaś, pozbawiony śrub hamujących uniesiony wiatrem i zmiażdżony wybuchem miny pogrążył się w falach oceanu Spokojnego.

Od czasu owej nocy z 12-go na 13-ty czerwca, kiedy Uncle Prudent, Phil Evans i Frycolin po wyjściu z Instytutu Weldona zginęli bez śladu, nie słyszano o nich ani słowa. Nikt się nawet nie domyślał co się z nimi stało. Udział Robura w tajemniczej sprawie zniknięcia oczywiście nikomu nie mógł przyjść na myśl.

Koledzy szanowanych powszechnie członków Instytutu niepokoił się ogromnie o ich los.

Rozpoczęto poszukiwania, udając się nawet o pomoc do policji. Powysyłano depesze na wszystkie krańce świata, nawet wyznaczono nagrodę w kwocie 5000 dolarów za jakąkolwiek wiadomość o zaginionych. Lecz wszystkie te zabiegi nie przyniosły żadnych rezultatów. W całym państwie panowało ogromne zainteresowanie. Chwile te zapamiętałem wybornie.

Nagle 20-go września po całej Filadelfii rozbiegła się błyskawicznie wieść sensacyjna.

Uncle Prudent i Phil Evans ukazali się w ścianach gmachu Instytutu Weldona.

Tegoż wieczora zwołano posiedzenie nadzwyczajne. Członkowie z entuzjazmem powitali odzyskanych kolegów, którzy na zadawane im pytanie odpowiadali z wielką ostrożnością albo też zachowywali intrygujące milczenie.

Prawda wykryła się później.

Po zniszczeniu i zniknięciu Albatrosa, Uncle Prudent i Phil Evans znaleźli się w położeniu rozpaczliwym. Na wyspę Chatham statki zawijają rzadko. Należało więc uzbroić się w cierpliwość i pomyśleć o zapewnieniu sobie środków do życia. W zachodniej części wyspy napotkali plemię krajowców, które wcale gościnnie przyjęło rozbitków. Zaledwie po upływie pięciu tygodni od zniszczenia Albatrosa jakiś statek żaglowy zabrał nieszczęsnego prezesa, jego sekretarza i lokaja do Ameryki.

Po powrocie do kraju oddali się całkowicie jednemu zadaniu: postanowili dokończyć budowy balonu i wyruszyć ponownie do wyższych stref powietrznych, z kąd tak niedawno wrócili.

28-go kwietnia roku następnego balon był już gotów do podróży. Kierować nim miał znakomity aeronauta Harry Tinder

Od chwili powrotu Uncle Prudenta i Phil Evansa do Filadelfii nic zgoła nie słyszano o Roburze. Słusznie więc i prezes i sekretarz mogli przypuszczać, że fale oceanu Spokojnego pochłonięły Albatrosa wraz z całą załogą.

W dniu przeznaczonym na wzlot balonu tysiące widzów zgromadziły się w Fairmount Parku. Objętość balonu była olbrzymia. Kwestyę sporną co do umieszczenia śruby rozstrzygnięto w ten sposób, że postanowiono użyć dwie śruby, umocowując jedną z przodu, drugą z tyłu łódki. Motor elektryczny siłą swą przewyższał wszystko, co dotąd uzyskano w tej gałęzi.

Pogoda była wspaniała, niebo bez chmur, ani cienia wiatru.

O godzinie jedenastej wystrzał armatni oznajmił tłumom, że balon gotów już do wzlotu.

– Przetnijcie linę!

Rzucił te słowa sakramentalne sam Uncle Prudent głosem silnym i donośnym.

Balon wolno i majestatycznie wzniósł się w powietrze. Na wstępie posuwano się czas jakiś w kierunku poziomym. Próba udała się wyśmienicie.

Nagle rozległ się krzyk – krzyk powtórzony przez setki tysięcy ust!...

Na północo-zachodzie ukazała się jakaś masa ruchoma, zmierzająca ku balonowi z szybkością niezwykłą.

Był to taki sam przyrząd napowietrzny, który w roku zeszłym porwał szanownych członków Instytutu Weldona i przewiózł ich ponad Europą, Afryką, Azją i Ameryką.

– Albatros!... Albatros!...

Tak to był Albatros, a na pokładzie stał Robur zwycięzca we własnej osobie!

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie, a zarazem przerażenie Uncle Prudenta i Phil Evans!...

Po wybuchu miny szczątki Albatrosa wraz z całą załogą zapadły się w morze. Szczęściem jednak przepływał tamtędy jakiś statek, który uratował tonących i wysadził ich w Australii.

Ztamtąd już nie trudno było Roburowi dostać się do wyspy X. Myśl zemsty opanowała go wyłącznie. W tym celu sporządził wkrótce nowy przyrząd do latania, który nawet przewyższał poprzedni. Kiedy doszła go wiadomość o zamierzonym wzlocie byłych pasażerów Albatrosa, postanowił stawić się w Filadelfii w dniu i godzinie oznaczonej na próbę.

Jakie zamiary miał w chwili obecnej?

Obok zemsty mogła nim jeszcze kierować chęć wykazania pierwszeństwa Albatrosa nad wszystkimi balonami i przyrządami do latania, opartymi na zasadzie ciężkości mniejszej od powietrza.

Uncle Prudent i Phil Evans doskonale zdawali sobie sprawę z groźącego niebezpieczeństwa.

Pozostawała im jedynie ucieczka, lecz nie w kierunku poziomym, gdzieby Albatros doścignął ich z łatwością, tylko w pionowym, do wyższych warstw atmosfery.

Wzniesli się zatem na wysokość 5000 metrów.

Albatros poszedł za nimi z całą szybkością, na jaką go było stać. Odległość między nim, a balonem zmniejszała się z każdą chwilą. Lecz balon, z którego wyrzucono część balastu,

wzniósł się o 1000 metrów ,jeszcze... Albatros, nadając sprężynom coraz szybszy ruch postępowy, nie ustawał w pogoni.

Nagle rozległ się huk straszliwy. Nastąpił wybuch. Pod naciskiem nadmiernie rozszerzającego się gazu, powłoka balonu przerwała się z hałasem. Balon zaczął szybko opadać ku ziemi.

Wtedy stała się rzecz niespodziewana: Albatros pospieszył z pomocą ginącym. Robur zapomniał o zemście i zabrał na swój pokład Uncle Prudenta, Phil Evansa i Tindera. W chwilę potem balon, jak łachman olbrzymi spadł na drzewa Fairmont Parku.

Publiczność drżała ze wzruszenia. i z przestraszu.

Co uczyni Robur z jeńcami?... Czy zabierze ich ze sobą w przestworza powietrzne?... Może tym razem ludzie ci odlecą niepowrotnie?...

Wątpliwości rozwiały się szybko. Albatros zaczął gwałtownie spuszczać się na dół, jak gdyby miał zamiar zarzucić kotwicę w Fairmont Parku. Byłby to dowód odwagi szalonej, podniecony tłum mógł się bowiem rzucić na przyrząd tak niezwykle i pochwycić jego właściciela. Albatros opadał ciągle. Na wysokości 5-6 stóp zatrzymał się nagle.

Nastąpiła chwila ogólnego wyczekiwania. Wśród ciszy grobowej rozległ się donośny głos Robura:

– Obywatele Stanów Zjednoczonych! Po raz już drugi prezes i sekretarz Instytutu Weldona znajdują się w mojej mocy. Mógłbym ich zatrzymać u siebie na zawsze. Lecz nie uczynię tego. Straszna zaciekłość, jaką obudza powodzenie Albatrosa, przekonała mnie, że ogół nie dorósł jeszcze do zrozumienia jak koniecznym jest przewrót w pojęciach o budowie balonów i nie pojmuje całej doniosłości panowania nad przestrzenią. A zatem, jesteście panowie wolni!

Uncle Prudent, Phil Evans i Tinder w jednej chwili zeskoczyli na ziemię, Albatros zaś wzniósł się o trzydzieści stóp wyżej, gdzie go już nikt dosięgnąć nie mógł.

Robur mówił dalej:

– Obywatele! Próba moja przyniosła rezultaty świetne, lecz jest przedwczesną... Dziś ludzkość szarpia i dzieli interesy najsprzeczniejsze. Odjeżdżam zatem, unosząc ze sobą tajemnicę, lecz myśl moja i praca nie zginą. Gdy ludzkość stanie na tym stopniu rozwoju, że wynalazku mego nadużyć nie zechce, dowie się o nim. Pozdrowienie wam, obywatele Stanów Zjednoczonych!

W chwilę później Albatros wśród oklasków rozentuzjzmowanego tłumu zniknął z przed oczu, kierując się ku wschodowi.

Ustęp ten przytoczyłem w całości, chcąc podać dokładną charakterystykę Robura. Wówczas, o ile się zdaje, nie żywił on w swym sercu niechęci do ludzi. Zastrzegał sobie przyszłość. Dumny i energiczny, wierzył niezachwianie w swą nadludzką prawie potęgę i genjusz.

Bardzo możliwe, iż uczucia powyższe rozwinęły się w nim do tego stopnia, że zapragnął ujarzmić świat cały – jak o tem sądzić mogłem z jego listów i zawartych tam groźb. Może więc dzisiaj zdolnym już był do nadużycia swej władzy i najgorszych wybryków?...

Łatwo mogłem sobie odtworzyć w myśli, co się działo z Roburem po odlocie z Filadelfii.

Albatros pomimo całej swej doskonałości nie zadowolilił genialnego wynalazcy, przyszła mu ochota zbudować przyrząd taki, któryby mógł się poruszać na ziemi, na wodzie i pod wodą z równą łatwością jak w powietrzu, przypuszczalnie dzieła tego dokonał na wyspie X przy pomocy niezwykle zdolnych robotników, którzy się zobowiązali do zachowania tajemnicy.

Albatros prawdopodobnie został zniszczony na Great-Eyry, a *Groza* ukazała się najpierw na drogach Stanów Zjednoczonych, w Zatoce Bostońskiej, na jeziorze Erie, ząd uszła pogoni drogą napowietrzną, zabierając mnie jako jeńca.

ROZDZIAŁ XVII

W imię prawa!

Kto mógłby przewidzieć jaki los mnie czeka?... Wszystko spoczywa w rękach Robura... moja rola jest całkiem bierna... prawdopodobnie nigdy mi się nie nadarzy sposobność ucieczki, jak Uncle Prudentowi i Phil Evansowi. Trzeba się więc uzbroić w cierpliwość i czekać... czekać...

Ciekawość swą zaspokoilem tylko częściowo, o tyle, o ile dotyczyła ona tajemnic Great-Eyry. Zbadałem dokładnie ten szczyt niedostępny i miałem pewność najzupełniejszą, że mieszkańcom Morgantonu, Pleasant-Gardenu i ferm okolicznych nie groził ani wybuch wulkanu ani trzęsienie ziemi. Great-Eyry było tylko schronieniem Robura, składem jego materyałów i zapasów. Prawdopodobnie miejsce to uważał on za bezpieczniejsze od owej wyspy X na Oceanie Spokojnym...

Lecz co się tyczy niezwykłego motoru, sposobów szybkiego przekształcania jednego przyrządu na drugi, nie dowiedziałem się zgoła nic... Przypuszczając nawet, że skomplikowany ten mechanizm wprawiała w ruch siła elektryczności, którą zapomocą jakichś nieznanych akumulatorów Robur czerpał z otaczającego powietrza, o budowie tego mechanizmu nie miałem najmniejszego pojęcia. Systematycznie trzymano mnie w oddaleniu.

Myślałem nieraz, że jestem jedynym człowiekiem, który może stwierdzić tożsamość Robura i Króla Przestrzeni... Włożono na mnie obowiązek uwięzienia tego człowieka, a tymczasem ja sam byłem jego więźniem!...

Na żadną pomoc z zewnątrz rachować nie mogę... Władze wiedzą o wszystkim, co zaszło w Block-Rock... prawdopodobnie John Hart i Nab Walker wrócili do Waszyngtonu razem z Wellsem... pan Ward nie łudzi się więc co do mego losu..., przypuszcza, niewątpliwie, jedno z dwojga: albo że utonąłem w Erié, albo też, że dostałem się na pokład *Grozy* i jestem w niewoli.

Tak czy owak, nie ma już nadziei zobaczenia mnie więcej.

Parowce, wysłane w pogoń za *Grozą*, ścigały ją aż do samych prawie wodospadów, gdzie znikła im z oczu. Wśród zapadających ciemności nikt nie mógł dojrzeć przekształcenia statku na przyrząd do latania, oczywiście więc sądzono, że *Groza* zginęła w otchłani wodnej.

Nie chciałem o nic pytać Robura, przypuszczałem, że nie zechce mi odpowiadać. Rzucił dumnie swe imię i sądził, że to mi wystarczy powinno.

Dzień minął, nie sprowadzając w mym położeniu zmiany najmniejszej. Robur i obaj towarzysze zajęci byli nieodstępnie przy maszynach. Wywnioskowałem ztąd, że Król Przestrzeni obmyśla nową podróż i ma zamiar zabrać mnie ze sobą. Co prawda, mógł mnie też zostawić samego na Great-Eyry, skądbym się bez jego pomocy wydostać nie mógł.

Uwagę moją zwróciło niezwykle podniecenie Robura. Czy tworzył plany na przyszłość? czy też obmyślał nowe sposoby udoskonalenia swego przyrządu?...

Noc spędziłem w jednej z grot, na posłaniu z suchej trawy. Tam przyniesiono mi posiłek, 2-go i 3-go sierpnia Robur i jego towarzysze nie ustawali w pracy. Niekiedy zamieniali ze sobą jakieś słowa urywane. Zapakowywali żywność, o ile mi się zdaje, na czas dłuższy.

Może więc Robur wybierał się w jakieś krainy odległe, najprawdopodobniej na wyspę X. Od czasu do czasu przechadzał się w zamyśleniu po piaszczystej płaszczyźnie, podnosił rękę

ku niebu, jak gdyby wyzywając do walki tego Boga, z którym chciał dzielić panowanie nad światem. Czyż ta pycha szalona nie doprowadzi go do zguby w którą pociągnę za sobą i swych towarzyszy?...

Rozporządzał jedną tylko *Grozą*, a chciał, ujarzmić wszystkie żywioły!...

Przyszłość więc przedstawiała mi się w barwach czarnych. Byłem przygotowany na rzeczy najgorsze. O ucieczce z Great-Eyry przed nową wyprawą, trudno było nawet marzyć – Tem mniej podczas podróży napowietrznej, lub wodnej.

Od chwili przybycia na Great-Eyry nosiłem się z myślą rozpytania Robura co ze mną zrobić zamierza. Dzisiaj postanowiłem przystąpić do tej rozmowy.

Całe popołudnie chodziłem po grocie tam i napowrót. Robur stał u wejścia, przyglądając mi się bocznie.

Zbliżyłem się ku niemu:

– Kapitanie – rzekłem – zapytywałem już pana przed kilku dniami, jakie masz względem mnie zamiary? Nie raczyłeś mi odpowiedzieć... może dzisiaj będę szczęśliwszym?

Staliśmy naprzeciw siebie. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach patrzył mi prosto w oczy. Wzrok jego przeraził mnie. Było w nim coś nad ludzkiego.

Ponowiłem pytanie tonem rozkazującym. Na chwilę zdawało mi się, że wyjdzie ze swej roli milczącej. Wywierał wrażenie człowieka, opanowanego myślą wyłączną... zdawało się, że jakaś siła nieprzeparta odrywa go od ziemi, unosząc ku wyższym szlakom atmosfery.

Nie wyrzekł słowa i odszedł do groty, gdzie nań czekał Turner.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak długo potrwa nasz pobyt na Great-Eyry. Trzeciego sierpnia jednak pod wieczór zauważyłem, że roboty około naprawy przyrządu zostały ukończone. Wszystkie składy statku napełniono zapasami żywności, przechowywanej w grotach. Wreszcie w środku płaszczyzny, na grubym pokładzie z suchej trawy Turner i jego towarzysz ułożyli stos z resztek materiałów, pustych skrzyń, kawałków drzewa. Przyszło mi na myśl, że Robur zamierza opuścić Great-Eyry na zawsze.

Nie dziwiło mnie to bynajmniej. Wiedział przecież, że uwaga ogółu zwrócona była na ten szczyt tajemniczy, że pierwiej czy później nowa wyprawa postanowiona zostanie. Na wszelki wypadek chciał więc zatrzeć ślady swego tutaj pobytu.

Słońce znikło za grzbietem gór Błękitnych, tylko ostatnie promienie złościły sterczący dumnie Black-Dome. Prawdopodobnie z nadejściem nocy rozpocznie się napowietrzna wędrówka.

Około dziewiątej zapanowały ciemności zupełne. Skłębione chmury zawisły na niebiosach. Nie widać było ani jednej gwiazdy. Z pewnością więc mieszkańcy nizin nie spostrzegą odlotu *Grozy*...

Nagle Turner zbliżył się do stosu i podłożył ogień pod suche trawy.

W jednej chwili wszystko stanęło w płomieniach. Snopy światła wydzierały się z pomiędzy gęstych kłębow dymu wznosząc się wysoko po nad skaliste złomy. Raz więc jeszcze mieszkańcy Morgantonu i Pleasant-Gardenu zadrżeli z obawy przed wybuchem wulkanicznym.

Stałem nieco opodal, przyglądając się pożarowi i wsłuchując się w trzask palących się drzew, Robur w głębokim milczeniu przypatrywał się wspaniałemu widokowi, Turner i jego towarzysz zbierali niedopalone kawałki drzewa i wrzucali je w środek płomienia.

Powoli ogień zaczął się zmniejszać, wreszcie zagasł zupełnie, żarzyły się tylko węgle przykryte gęstą warstwą popiołu. Zapanowała cisza.

Nagle ręka jakaś pochwyciła mnie za ramię. To Turner pociągnął mnie gwałtownie na pokład. Wszelki opór byłby daremny, zresztą cóż za cel byłby pozostawać samemu na Great-Eyry?

W chwilę później kłapa zamknęła się za mną. Znalazłem się w swej dawnej kajucie, jak w więzieniu. Podobnie jak wtedy, gdyśmy opuszczali Niagarę skazany byłem na odosobnienie ruchów *Grozy* obserwować nie mogłem.

Słyszałem tylko huk maszyny, odczułem kilka wstrząśnień, jak gdyby kołysań się statku, poczem dolne turbiny zaczęły się poruszać z szybkością gwałtowną, a potężne skrzydła były rytmicznie.

A zatem *Groza* opuściła Great-Eyry i prawdopodobnie na zawsze. Wznieśliśmy się ponad Alleghany, lecz dokąd lecimy? O tem nie miałem najmniejszego pojęcia. Gdy jutro znajdę się na pokładzie i dokoła siebie ujrzę niebo i morze, jakże odgadnę, czy szybujemy nad Atlantykiem, czy też ponad Oceanem Spokojnym lub zatoką Meksykańską?

Upłynęło kilka długich godzin. Nie próbowałem nawet zasnąć. Myśli bezładne, niepokojące, tłoczyły się w moim mózgu. Zdawało mi się, że jakiś potwór napowietrzny unosi mnie w przestworza..., przypominała mi się nadzwyczajna podróż Albatrosa, której opis podali swego czasu Uncle Prudent i Phil Evans. Dzisiaj Robur Zwycięzca, pan ziemi, morza i powietrza jest przecie w warunkach dużo świetniejszych.

Wreszcie pierwsze promienie świtu wpadły przez okienko kajuty.

Spróbowałem podnieść kłapę. Na szczęście nie była zamknięta.

Wysunąłem się do połowy. Dokoła rozścielała się bezkreśna wodna płaszczyzna. Znajdowaliśmy się przynajmniej o jakie 1000-1200 stóp ponad poziomem.

Robura na pokładzie nie było.

Turner stał przy rudlu, towarzysz jego na przodzie.

Na wstępie uderzył mnie ruch potężnych skrzydeł, czego podczas nocnej podróży z nad Niagary dostrzedz nie mogłem.

Oryentując się przy pomocy słońca, które się wzniosło o kilka stopni po nadhoryzont, rozumiałem, że lecimy na południe. A zatem, jeżeli od chwili odlotu z Great-Eyry, *Groza* nie zmieniła kierunku, mieliśmy pod stopami zatokę Meksykańską. Dzień zapowiadał się upalny. Od zachodu ciągnęły gęste, sine chmury. Były to oznaki zbliżającej się burzy. Nie uszły one uwagi Robura, który około ósmej wszedł na pokład i zastąpił Turnera. Może przypominała mu się straszliwa trąba powietrzna i groźny cyklon, z których cudem prawie został uratowany Albatros.

Co prawda *Groza* jest przyrządem o wiele doskonalszym. W razie burzy może przecież spuścić się na powierzchnię oceanu, a gdyby i tutaj groziły jej rozhukane fale, może się zanurzyć w głębiny, gdzie nic spokoju i ciszy nie zakłóci.

Zresztą, o ile mi się wydało, Robur nie przypuszczał, ażeby burza miała wybuchnąć dzisiaj. Nie zniżał więc lotu i *Groza* szybowała w powietrzu, jak olbrzymi ptak morski, który miał tę przewagę, że metalowe członki, poruszane elektrycznością, nie znały znużenia.

Nieogarniona, niezmierną powierzchnia wody była pusta zupełnie. Na horyzoncie nie dostrzegałem ani jednego żagla, ani jednego słupa dymu.

Po południu nic godnego uwagi nie zaszło, *Groza* posuwała się wciąż ku południowi ze średnią szybkością. Lecąc dalej w tym kierunku zbliżaliśmy się do wysp Antylskich, Kolumbii i Wenezueli. Może jednak nocy następnej przetniemy przesmyk i znajdziemy się nad oceanem Spokojnym, dążąc ku wyspie!...

Tymczasem zniżyliśmy się na powierzchnię wody.

Słońce zachodziło krwawo. Dokoła nas iskrzyło się i paliło morze... Wszystko zapowiadało burzę.

Prawdopodobnie tego samego zdania był i Robur. Na jego rozkaz musiałem opuścić pokład i zejść do kajuty. Kłapa zamknęła się za mną natychmiast.

Równocześnie usłyszałem szmer i hałas, zapowiadający, że *Groza* zamieni się na statek podwodny. Istotnie w pięć minut później płynęliśmy już w głębinie.

Zmęczony fizycznie i moralnie zapadłem wkrótce w głęboki, długi i ciężki sen... tym razem nie potrzebne były proszki usypiające.

Gdy się zbudziłem, płynęliśmy jeszcze pod wodą. Lecz wkrótce wydostaliśmy się na jej powierzchnię. Szaro zielony brzask przenikał przez okienko kajuty, silne kołysanie się statku dowodziło, że fale są jeszcze bardzo wzburzone.

Pośpieszyłem na pokład i zająłem swe dawne miejsce.

Na północo-zachodzie zbierała się burza. Błyskawice coraz częściej przecinały ciemnosine, prawie czarne chmury. Zdała rozlegał się huk grzmotów i piorunów, które echo powtarzało wielokrotnie.

Byłem zdumiony i przerażony szybkością, z jaką się burza zbliżała.

Nagle zerwał się wichur gwałtowny, rozdzierając gęstą oponę mgły. Spienione, rozchukane fale zalały *Grozę*. Gdybym się nie był tak mocno trzymał rampy, byłyby niewątpliwie uniosły mnie ze sobą. Pozostawał jeden, jedyny ratunek: przekształcić *Grozę* na statek podwodny. Czyż nie szaleństwo stawać do walki z rozchukanym żywiołem, skoro o dwadzieścia stóp głębiej znaleźć mogliśmy spokój i bezpieczeństwo.

Robur był na pokładzie. Spodziewałem się, że za chwilę rozkaże mi zejść do kajuty, lecz się zawiodłem, ku memu ogromnemu zdumieniu nie czyniono żadnych przygotowań do przekształcenia *Grozy* na statek podwodny.

Wyniosły i niewzruszony, okiem płonącym kapitan wyzywał do walki rozszalałą burzę i zdawał się być pewnym zwycięstwa. Z przerażeniem zapytywałem siebie, czy człowiek ten nie jest jakąś istotą nadprzyrodzoną. Jedno jego słowo, jedno skinienie a *Groza* mogła się jeszcze zanurzyć w głębinie... jeszcze mogliśmy być ocaleni! Lecz on stał bez ruchu.

Nagle z ust jego padły wyrazy, zlewające się ze świstem burzy i łoskotem piorunów:

– Ja... Robur – władca świata.

Dał znak ręką... towarzysze go zrozumieli... był to rozkaz... rozkaz nieodwołalny; który nieszczęśliwi spełnili bez wahania.

Całe niebo zdawało się być objęte płomieniem. Piorun uderzał po piorunie, *Groza* z rozpostartymi skrzydłami wzniosła się w powietrzu i pędziła jak szalona wśród ogni błyskawic, wśród łoskotu gromów.

Kilka dni temu ponad Niagarą, szczęśliwie umknęła zwirów wodospadu... Czy i dzisiaj uniknie wściekłości huraganu?...

Robur nie zmieniał postawy. Jedną ręką kierował rudlem, drugą trzymał na ręczce regulatora. Skrzydła były tak potężnie, że lada chwila mogły być złamane. *Groza* pędziła w samo ognisko burzy, tam gdzie iskry elektryczne z największą gwałtownością wyładowywały się z jednej chmury na drugą.

Trzeba było koniecznie ratować *Grozę*, która leciała na zgubę w tę otchłań powietrzną. Powierzchnia rozszalałego morza przedstawiała niemniejsze niebezpieczeństwo. Za jaką bądź cenę należało się zanurzyć w głębinie.

Poczucie obowiązku zbudziło się we mnie z gwałtownością rozpaczliwą... Czyż można nie powstrzymać warjata, złoczyńcę wyjętego z pod opieki prawa i zagrażającego swym wynalazkiem bezpieczeństwu całego świata?... Ja, Strock, główny inspektor policji waszyngtońskiej powinienem przecież oddać tego człowieka w ręce sprawiedliwości!...

Zapominając, że jestem jeden przeciwko trzem, że się znajdujemy o parę tysięcy stóp po nad rozchukanym żywiołem, skoczyłem ku Roburowi, schwyciłem go za kołnierz, starając się głosem zapanować nad rykiem i świstem burzy:

– W imię prawa...

Nagle *Groza* wstrząsnęła się gwałtownie, jak gdyby uderzona potężnym ładunkiem elektryczności. Metalowy szkielet zadrgał, podobnie jak ciało człowieka pod wpływem silnego prądu. Poczem, rażony w samo jądro, rozpadł się na części.

To piorun strzaskał ten przyrząd cudowny, arcydzieło umysłu ludzkiego. Ze zmiażdżonymi skrzydłami, z połamanymi turbinami *Groza* spadła z wyższych szlaków atmosfery w głębiny morza...! Prawo Najwyższego dosięgło pychę człowieka.

ROZDZIAŁ XVIII

Ostatnia rozmowa z Grad.

Ile godzin byłem zemdłony – nie wiem. Odzyskałem przytomność w kajucie jakiegoś nieznanego statku. Leżałem na łóżku, otoczony marynarzami, których starania przywołały mnie do życia. U wezłowania stał oficer i rozpytywał o szczegóły doznanej katastrofy.

Opowiedziałem mu całą prawdę, niestety jednak wszyscy obecni przypuszczali, że mówię w malignie.

Znajdowałem się na parowcu „Ottawa”, który płynął do Nowego Orleanu. Podczas burzy załoga spostrzegła szczątek zmiażdżonego statku, którego się czepiałem kurczowo i zabrała mnie na pokład.

Byłem ocalony, lecz Robur i obaj jego towarzysze w falach zatoki zakończyli żywot awanturczy. Król Przestrzeni, rażony piorunem odszedł na zawsze, unosząc ze sobą tajemnicę nadzwyczajnego wynalazku.

W pięć dni później zbliżyliśmy się do brzegów Luizjany, a 10-go sierpnia raniutko *Ottawa* zarzuciła kotwicę w porcie Nowego Orleanu.

Pożegnałem serdecznie oficerów gościnnego statku i pierwszym pociągiem odjechałem do Waszyngtonu, gdzie wprost z kolei udałem się do zarządu policji.

Trudno opisać radość i zdumienie szefa, gdy ujrzał mnie na progu swego gabinetu. Przekonany był najmocniej, że zginąłem w wodach Erié. Wtajemniczyłem go niezwłocznie we wszystkie szczegóły mojej awanturczej podróży – opowiadałem o pogoni parowców na jeziorze, o przekształceniu „*Grozy*” na przyrząd do latania, o wzniesieniu się ponad Niagarę, o Great-Eyry o strasznej burzy i cudownym prawie ocaleniu, dzięki załodze „*Ottawy*”.

Pan Ward zaledwie mógł uwierzyć moim słowom.

– Ostatecznie jednak, wróciłeś do nas, kochany Strock zakończył rozmowę – i to jest rzecz główna. Po śmierci Robura pan się staniesz bohaterem dnia... Pan przecież zdarłeś zasłonę z tajemnic Great-Eyry, pan oglądałeś przekształcania się „*Grozy*”... Nieszczęściem, tajemnica wynalazku Króla Przestrzeni zginęła z nim razem!...

Jeszcze tego samego wieczora dzienniki podały opis moich przygód niezwykłych. Pan Ward miał słuszość zupełną. Nazajutrz stałem się bohaterem dnia. Jedno z pism głosiło:

„Dzięki inspektorowi Strockowi policja amerykańska zaimponowała światu: ściga zbrodniarzy nie tylko na lądzie i morzu lecz nawet w głębinach wód i oceanów, oraz w przestworzach powietrznych...”

Istotnie, zdaje mi się że uczyniłem to, co czynić będą moi koledzy w przyszłości.

Wreszcie pojechałem do swego mieszkania przy Long-Street. Pocziwa Grad na mój widok omal nie padła zemdłona. Opisu mych przygód wysłuchała ze łzami w oczach, dziękując Opatrzności, że mnie wyratowała od zguby.

– Panie, rzekła w końcu, czyż nie miałam słuszości?...

– Nie rozumiem ciebie, moja zacna Grad.

– Mówiłam panu przecież, że Great-Eyry to siedlisko szatanów!

– Ależ Robur nie był szatanem!

– Ba, jeżeli nim i nie był, to w każdym razie na tę nazwę zasłużył!...

KONIEC.

¹ Inne tytuły: MAÎTRE DU MONDE (1904) – oryginalny, wyd. polskie 1905 "Król przestrzeni", 1988 "Pan Świata"

2 Wielkie gniazdo

3 Dokładna kopia listu.

4 Rezydencja prezydenta Stanów Zjedn.